



# Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 8(240) Żelów, sierpień 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

## W numerze:

**Wiersze:** Tadeusza Chabrowskiego, Marcina Liszkiewicza, Janusza Orlikowskiego, Aleksandry Pijanowskiej-Adamczyk, Stanisława Stanika, Ryszarda Wasilewskiego

**Andrzej Dębowski** – *Translacja*

**Leszek Żuliński** – *Sokrates tańczy nadal*

**Józef Baran** – *Spadając, patrząc*

*w gwiazdy*

**prof. Maria Szyszkowska** – *Filozofia codzienności*

**prof. Ignacy S. Fiut** – *W pogoni za smakiem życia*

**Stefan Jurkowski** – *Plener z duszą*

**Andrzej Bartyński** – *Małe smyki (1)*

**Joanna Friedrich** – *Sen nocy letniej*

**Marek Jastrząb** – *Po-ranne noce*

**Kazimierz Ivosse** – *Ku pełni człowieczeństwa*

**Magdalena Kapuścińska** – *Poeci w walce o Niepodległą*

**Emil Biela** – *Wielka encyklopedia Polonii świata*

**Ryszard Klimczak** – *Reduta może być, jakkolwiek chodzi jednak o Redutę Orдона*

**Andrzej Gnarowski** – *Ryszarda Ulickiego rozmowy egzystencjalne*

**Jan Owczarek** – *Ciągle wyruszamy do tych samych miejsc*

**Tadeusz Stolarski** – *Słownikowy rarytas*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębowski

## Kronika

## Włodzimierz Odojewski nie żyje

W wieku 86 lat zmarł **Włodzimierz Odojewski** – pisarz, autor scenariuszy scenicznych i słuchowisk radiowych, przedstawiciel tzw. pokolenia Współczesności.

Odojewski w latach 1949-1951 pracował w redakcji „Gazety Poznańskiej”. Od 1956 roku do 1959 roku był zastępcą redaktora naczelnego poznańskiego pisma społeczno-kulturalnego Dziennik Zachodni. Od 1960 roku mieszkał w Warszawie, od 1968 pracował jako kierownik Studia Współczesnego Teatru Polskiego Radia. Z powodów politycznych pozbawiono go pracy. Od 1969 przebywał za granicą. Zamieszkał w Monachium i od 1984 był kierownikiem literackim rozgłośni Wolna Europa. Pełnił funkcję przewodniczącego Rady Fundacji Sienkiewiczowskiej.



Foto: www.instytytksiiazki.pl

### Włodzimierz Odojewski

Znany z powieści: „Wyspa ocalenia” (prezentowana w poznańskiej rozgłośni PR 1951, wydana 1964), „Miejsce nawiedzone” (1959), „Czas odwrócony” (1965), „Zasypie wszystko, zawieje” (druk fragmentów w prasie krajowej 1967-1968; całość: tom 1-3, Paryż 1973), „Oksana” (1999), zbiory opowiadań, m.in. „Upadek Tobiasza” (1955), „Zmierch świata” (1962), „Zabezpieczanie śladów” (Paryż 1984; o Polakach w łagrach radzieckich), „Zapomniane, nieuśmierzone...” (Berlin Zachodni 1987), „Jedźmy, wracajmy” (1993; o Polakach na emigracji), „Bez tchu” (2002), powieści dla młodzieży, wybory sztuk jednoaktowych „Punkt zwrotny” (1964), „Pomyłki” (1965).

Był m.in. laureatem nagród Fundacji Kościeliskich w Genewie, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, paryskiej „Kultury”, Ministerstwa Kultury i Sztuki, polskiego PEN-Clubu.

## Jubileusz Lecha Konopińskiego

Po wybuchu II wojny światowej został wraz z rodzicami i bratem wysiedlony do Warszawy, gdzie przebywał i uczył się na tajnych kompletach do 1944. W trakcie powstania warszawskiego (podczas którego zginął ojciec) wywieziono go z matką i bratem na roboty przymusowe do Niemiec. Po zakończeniu wojny powrócił do Poznania i kontynuował naukę.

Doktoryzował się na Uniwersytecie Łódzkim, uzyskując stopień doktora nauk ekonomicznych.

Pracował jako asystent Wyższej Szkoły Rolniczej w Poznaniu (1955-1957), będąc jednocześnie współpracownikiem „Głosu Wielkopolskiego” (od 1956). W latach 1958-60 był sekretarzem redakcji tygodnika satyrycznego „Kaktus”, a po jego likwidacji – w latach 1960-1965 – został publicystą rolnym „Gazety Poznańskiej”. Za pracę dziennikarską otrzymywał różne nagrody, m.in. w 1962 r. – III nagrodę Wielkopolskiego Festiwalu Kultury za publicystykę. W tymże roku został członkiem Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. W 1991 roku wydawał i redagował dwutygodnik satyryczny „Pyra”, a od 1991 – czasopismo „Filatelista Polski”. Od 2010 jest naczelnym redaktorem magazynu kulturalnego „Warta”.

Ogółem wydał ponad 60 książek oraz książeczek dla dzieci w ogólnym nakładzie 4,5 miliona egzemplarzy; Napisał ok. 600 tekstów piosenek dla czołowych polskich wokalistów (m.in. Anna Jantar, Krzysztof Krawczyk, Eleni, Piotr Kuźniak, Jerzy Grunwald, Danuta Mizgalska, Wiesława Orlewicz i inni), a także ponad 50 piosenek dla regionalnych kapel: „Zza Winkła”, „Plewiszczoki”, „Junki z Buku” i „Mechaniczna Pyra” (głównie w gwarze wielkopolskiej).

Lech Konopiński zajmował się często eseistyką literacką. Współpracował z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, przygotowując „Dzieje śmiechu w prasie wielkopolskiej do 1945 roku” (w III tomie pracy zbiorowej pod redakcją prof. Marcelego Kosmana), uczestniczył w międzynarodowych konferencjach naukowych Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wygłaszając referaty na temat związków z Wielkopolską naszych wieszczów – Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego (prace publikowane w wydawnictwach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk).

Od 1964 był Konopiński członkiem Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR, kilkakrotnym członkiem jego władz naczelnych i przewodniczącym Oddziału Poznańskiego w latach 1978-1986. W tym okresie wspólnie z dyrektorem MGOK w Kostrzynie Wielkopolskim stworzył i współorganizował 30 „Biesiad Humorystów”. W imprezach tych uczestniczyła cała czołówka autorów i artystów polskiej estrady.



Foto: Andrzej Dębkowski

### Lech Konopiński

W Związku Literatów Polskich pełnił różne funkcje: był członkiem Głównego Sądu Koleżeńckiego, wiceprzewodniczącym Zarządu Oddziału, przewodniczącym, a także członkiem Komisji

Rewizyjnej. Przez kilkadziesiąt lat był członkiem Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym ZLP.

Był współorganizatorem Światowej Wystawy Filatelistycznej POLSKA'73 w Poznaniu, zgłosił wiele projektów znaczków pocztowych, związanych z Wielkopolską (kilka zrealizowanych), pełnił funkcje sędziego klasy międzynarodowej na wystawach krajowych i międzynarodowych. Uczestniczył w kilku Światowych Wystawach Filatelistycznych, eksponując – jako prezes Klubu Polarników – kolekcję „Arktyka i Antarktyka”. Jako długoletni członek Association des Journalistes Philateliques, współpracuje z niemieckimi wydawcami: Schwaneberger Verlag (Katalogi Michel i miesięcznik Michel Rundschau) oraz Leuchtturm Verlag (wydawca m.in. albumu do polskich znaczków).

Przełożył na język polski książki niemieckich autorów klasycznych bajek dziecięcych – Wilhelma Buscha i Heinricha Hoffmanna (bohaterowie tych opowieści znaleźli się na znaczkach pocztowych RFN).

Książki Lecha Konopińskiego przekładane były na języki obce, zwłaszcza – na niemiecki, rosyjski, japoński i wietnamski. Waldemar Zamlewski przełożył na język niemiecki około 800 jego aforyzmów w tomie „Myśli – Gedanken”.

Wspólnie z Włodzimierzem Scisłowskim i Januszem Przybyszem („Dyrektor też człowiek”), a także samodzielnie napisał kilka sztuk teatralnych, głównie dla dzieci. Jedną z nich – „Tajemnicze znaki” – wystawiana była w kieleckim Teatrze Aktora i Lalki, inne wystawiał poznański Dom Kultury – Zamek. „Miasteczko Bajeczek” z udziałem m.in. Mieczysława Czechowicza – nagrana została na kasety w ZPR Rekords. „Książę Lech i druhów trzech” (o korzeniach ojczyzny) – w wykonaniu czołówki polskich aktorów wydano na płycie Tonpress – KAW, na innych płytach utwory Konopińskiego dla dzieci recytowali m.in. Anna Seniuk i Wiktor Zborowski. Wiersze dla najmłodszych znalazły się też w podręcznikach szkolnych.

Lech Konopiński otrzymał wiele nagród literackich, m.in. Złotą Księgę 1971 za „Rajskie jabłuszka” w plebiscycie czytelniczym „Wybieramy najpopularniejszą książkę pisarza środowiska poznańskiego”, a także nagrody MKiS – głównie za teksty piosenek. Otrzymał też – Złoty Krzyż Zasługi (1977), Odznakę Honorową m. Poznania (1979), odznakę honorową „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego” (1980), brązową odznakę „Za Zasługi dla Polskiej Filatelistyki” (1980) odznakę „Zasłużony Działacz Kultury” (1982), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1985), Order Uśmiechu (2003), srebrny medal „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis” (2010) i wiele innych.

Niezależnie od działalności pisarskiej – Lech Konopiński pełnił różne funkcje społeczne: był m.in. przez trzy kadencje członkiem Rady Programowej Telewizji Poznańskiej oraz członkiem Zarządu Towarzystwa Miłośników Miasta Poznania.

W kwietniu 2004 roku otrzymał Order Uśmiechu. W 2009 roku, podczas Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, wręczono mu nadany przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bogdana Zdrojewskiego Srebrny Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis.



Marek Jastrzęb

# Po-ranne noce (15)

Nad jeziorkiem postawi się przytulne stacje benzynowe, warsztaty naprawy dorożek na spaliny oraz myjnie dla wehikułowych czystościaków. Jeżeli chodzi o wodę, to jest jej w bród.

Można ją ściągać bezpośrednio z akwenu. Jeżeli chodzi o ścieki, to nie ma problemu: wszystko, co gnije, cuchnie i jest podobne do ruchomej padliny, powinno się w nim znaleźć. Specjalne ekipy najemnych naukowców dowiodły bowiem, iż współczesne organizmy muszą odżywiać się nieczystościami. Wykazały, że co prawda herbata sporządzona z tej wody nadaje się do wylania razem z czajnikiem, tym niemniej przydaje się do glansowania protez.

Znowu doładujemy sobie akumulatory tromtadrackim samopoczucem i kolejny raz udowodnimy całemu światu, że jesteśmy w czołówce państw absurdalnych. Tłumy ciekawskich zwiedzaczy krajobrazowych zadepczą niedostępne rejony dla draki nazywane kniejami, borami i puszciami, a jakiś błyskotliwy ochroniarz środowiska dostanie premię za dewastację przyrody i wszystkim zrobi się bło.

Minister od ekosystemów wyda instrukcję na temat prawidłowego robienia kupki, a fachman od fetoru tysiąca jezior pozwoli na zażagłówkowanie, obdziałkowanie i zamotorowanie całego obszaru. Co nagoni nam jeszcze większą hałastrę turystów i przysporzy satysfakcji, że nie wypadliśmy sroce spod ogona i potrafimy dbać o florę i faunę.

## Nadmiary obfitości

Przechodzimy przez bramkę do wykrywania niezamożnych portfeli i po załatwieniu sprawy z wypełnieniem ankiety na temat stanu majątkowego i celu wizyty, wchodzimy do wnętrza supermarketu. Witani przez diabolicznie uśmiechnięty personel w buraczkowych przyodziewkach i z plakietkami informującymi, kto za nic nie odpowiada, idziemy do punktu sprzedaży mydła end powidła. Zaraz za jego wejściowymi drzwiami dostajemy palpacji gałek ocznych, bo ogarnia nas zakupowa głupawka i atakuje rozkoszny widok półek oblepionych dobrami pochodzenia *adymiej*.

Być może znaleźć szpilkę w stogu siana jest niesłychanie trudno.

Lecz jeszcze trudniej znaleźć WŁAŚCIWĄ, ukrytą w kopcu innych gwoździaków.

Pragniemy odszukać taką z czerwonym łebkiem. Chociaż z czerwonym, to akurat pomysł felerny, bo ten kolor za mocno kojarzy się z komuchami. No, ale dla świętego spokoju niech będzie łebek o barwie neutralnej: wyblakły i apolityczny.

Jakkolwiek interesują nas (tylko i wyłącznie) szpilki i jakkolwiek przywiało nas tu, by zakupić (tylko i wyłącznie) jedną z nich, a potem dać dyla przed kompletną utratą finansowej wiarygodności, to nie możemy oprzeć się pokusie i odczuwamy mus, by spenetrować resztę sklepu. Wytrzeszczony, pożądlivy wzrok przekłada wajchę i atakuje nasze ślinianki handlowe; w tempie zreumatyzowanego żółwia przemierzamy się od regału do regału.

Nie straszne nam ceny i nic to, że w domu czeka nas awantura pod tytułem: a na cholereż żeś to kupił/a.

Kupujemy, bo a nóż za sto lat nam się przyda. Ale jako że jesteśmy cwane gapy i nie kupujemy kota w worku, prosimy subiekta o pomoc, bośmy się pogubili w przyciskach. Chcemy, by nam powiedział, co to tam jest, bo niby wygląda jak telefoniczna komórka, tyle że z boku ma jakiś wrzód niejasnego przeznaczenia.

Sprzedawca w buraczkowym przyobleczeniu podjeżdża do nas na służbowej deskorolce i tłumaczy, że wrzód, to zwykły wtyk do słuchawek do radia. I dodaje, że podobnych wtyków komórka ma więcej, bo aparat jest uniwersalny, multimedialny, a zwłaszcza modny. Ma też maciupcią latarenkę z barometrem i zapalniczkę z gwizdkiem, a gdy prosimy, by nam zademonstrował, jak to działa, proponuje nam wizytę u producenta, bo jemu nie płacą za inteligencję.

W tym miejscu przypominamy sobie rozrzewniające czasy opisywane przez Prusa w „Lalce” i początki zawodu ekspedienta Rzekiego. Zanim stary Mincel dopuścił Ignasia do ludy z klientami, przeczłogał go przez zajęcia z towaroznawstwa, by chłopak wiedział, co sprzedaje. Identycznie, jak w naszym przykładowym supermarkecie prezentują się sprawy w księgarni: sprzedawca nie zna obiektu i nic nie umie polecić, a klient pęta się między półkami.

Wracając do igły: co półka z produktami, to bardziej barwna i namolna, a że wszystkie są wielkości tankowca, a że przy każdej należy przykleknać, zdjęć pokrywkę z glacy i pomodlić się do Fiskusa, by w końcu dostąpić łaski obmacania wyrobu, zwiedzanie zajmuje nam pół dnia. Kiedy, setnie zżipani, docieramy

nareszcie do zbiornika z przysłowiowymi szpilkami, okazuje się, że w naszym koszyku na zakupy nie ma ani milimetra wolnego miejsca i wypiętrzył się problem: gdzie we-tnąć to, po co przyszliśmy. Zatem decydujemy się na heroiczny gest i odkładamy najmniej niezbędne. Przy czym odkładamy byle jak, ponieważ nie pamiętamy, gdzie leżały wprzód.

Po wykonaniu zadania meldujemy się w kolejce do kasy.

Przed nami ze dwa mendle postaci z pojemnikami wypełnionymi po brzegi oraz paru emerytów z odrobiną nieśmiałych bułek i czymś samotnym owiniętym w toaletowy papier ze świątecznym pomponem. Toteż stwierdzamy, że czeka nas godzinny postój. Starzy klienci blaszaka okazali się zapobiegliwi od nas i przynieśli ze sobą rozkładane krzeselka, my zaś przebieramy odnóżami mając desperacką nadzieję, że nikt nie ukradł nam samochodu i będziemy mieli czym dojechać do domu.

Ale skończyło się na strachu i oto jesteśmy we własnej chałupie i oto odwijamy szeleszczące opakowania. Naszym znaknioczym oczom ukazują się ZAKUPY, a wśród nich szpilka. Co prawda ma łebek niezgodny z naszym życzeniem, gdyż takowej nie mogliśmy znaleźć, lecz nie bądźmy drobiazgowi! Przypomnijmy sobie chwile, gdy zamiast mięsa, wisiały smutne haczyki. Poczujemy się: widok półek z badziewiem w sreberku jest mniej traumatyczny od pójścia do sklepu z widokiem na napis: TOWARU BRAK.

## Zrzędzianowe zwierzenia

Przebywam w świecie niechcianym, narzuconym, skonstruowanym przez osobnika umysłowo nieszczęśliwego. W krainie strachu, agresji, groteskowych recept na cokolwiek. Żyję w otoczeniu farfocli, płaskich wrażeń i naskórkowych ocen. Znajduję się na marginesie obcych zdarzeń. Jestem jako dodatek do kwiecistego kozucha: moralnie plugawiony przez współczesną wersję luminarza. A kiedy mu o tym mówię, Obywatel Dyzma powiada, że marudzę.

I dziwi się, jak można nie lubić tragedii, istnieć bez magła i plotek, trupów i ofiar, przemocy i katastrof.

Co to za życie bez gwałtów i morderstw?

(Dokończenie na stronie 4)

# Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Zwłok rozsmarowanych na ścianie? Jak nie pokazywać strumieni krwi, obejść się bez ofiar i malowniczych dramatów?

Jak można wytrzymać bez trwogi i upojonego słuchania jęków ludzi wołających o pomoc? Przecież to tak rozkoszne doznania! Balsam dla oczu!

Odpowiadam mu więc słowami Rochefoucauld: zawsze mamy dość siły, aby znieść cudze nieszczęście. Jednak po jego rozpaczliwie tępej minie poznaję, że nie wie, co do niego mówię.

\*\*\*

Tu zamyśliłem się krzywą, bo natłok patologicznych zjawisk, tych wulgarnych omenów obecnych czasów, nurtuje mnie od dawna. Wrażenie to nasiliło się z chwilą terrorystycznego ataku w 2001 roku. Denerwują mnie bezustanne powtórki z tragedii.

Seriale z cudzego bólu. Tak jak wszelka natarczywość przekazu. Działa na nerwy widok reportera wyłaniającego się ze szklanego pudełka i jak przyglądowi opowiadającego po raz tysięczny o tym, co widziałem przed chwilą, a co mogę zobaczyć jeszcze raz dzięki sponsorowi od przerwy.

Drażni mnie sprawozdawca przedstawiający krwawe widoczki rozwalonych ciał i zapadających się wież, ludzi wyskakujących na bruk, irytują ostateczne pożegnania z rodzinami i ujawnianie telefonicznych rozmów. Nazbyt intymne, przeznaczone dla najbliższych, udostępnione publice, stające się własnością ogólnodostępną i poniekąd wspólnym dobrem... Wszyscy mogą się o nich wypowiedzieć, bo przecież każdy ma prawo do informacji, do jej interpretowania i oceny. Toteż cierpimy na irytujące podglądanie, niuchanie, medialnie kocią muzykę.

Mamy co niemiara rankingów oglądalności, słuchalności, poczytności. Radio, prasa, telewizja, ulica, wszystkie te nośniki informacji obwąchują rzeczywistość, starając się wycisnąć z ludzkiego bólu jak najwięcej pieniędzy i zrobić dochodowy interes.

Lecz wkrótce zapominamy o zdezaktualizowanych newsach, ponieważ doświadczamy – nowej dostawy.

Jak wiemy, wszystko, co nowe i pachnące świeżą krwią, jest atrakcyjniejsze od dramatu przeżutego. Temat sprzedaży tragedii, mówienie o niej, zaaferowane, rozentuzjazzowane i wszechstronne obgadywanie wszelkich jej aspektów, reperkusji i konfiguracji, to temat gorący. Aż do uprzykrzenia jesteśmy bombardowani PROBLEMEM znajdującym się na maglarskiej tapecie.

Ale temat szybko się nudzi i działa do wyczerpania się publicznej uwagi. Po czym

znika i tylko przez krótką chwilę funkcjonuje na pierwszych stronach gazet, w czołówkach radiowych czy telewizyjnych dzienników.

Coraz częściej dostrzegam – z przerażeniem granicznym z poczuciem rozpacz – że uczciwość ma teraz frajerską zadyszkę, solidny to ciemęga i zakuty łeb, a wrażliwość stanowi wizytówkę duchowych cieniasów.

## Bunt

Stanisław Grochowiak oświadczył, że bunt się ustatecznia. Poeta był człowiekiem niebywale kulturalnym, a więc nie dziwi mnie ten eufemizm. Ja nie należę do ludzi przesadnie subtelnych, toteż powiem, że bunt dzieje się. Ale naprzód jest wściekle żwawy. I to dobrze, bo bunt jest przywilejem młodości. Powiem więcej: buntować się można tylko za młodu, albowiem buntuje się ten, kto mało wie. Bo co to za bunt w wykonaniu leciwego powściągliwca i czcigodniaka!

Mam pytanie: czy można uczynić raban będąc człkiem statecznym, dostojnym, prawie znacnym i niemal roztropnym oraz – sakramencko układnym? Podejrzewam, że wątpię. Zresztą są przykłady, dokumenty, teksty. Na przykład Bolesław Prus, Henryk Ibsen, Karol Dickens, a z niedawnych – Aleksander Solżenicyn.

Ich poglądy przechodziły ewolucję od optymizmu do pesymizmu.

Nie odwrotnie.

Od jasnych stron po ciemne, by nie rzec – mroczne. Z wiekiem, a zwłaszcza z doświadczeniem życiowym, przemija entuzjazm i parciej marzenia przechodząc w ślamazarne mrzonki.

Przekwita młodzieńczy zapał, a rodzi się zmurszały sceptycyzm i pierdzielowate poglądy. Rzadziej mówi się „NA PEWNO”, częściej natomiast – BYĆ MOŻE. Jest się ostrożniejszym w wyrażaniu radykalnych sądów. Mniej nonszalanckim, a bardziej wyrozumiałym.

Już Mickiewicz napomykał, byśmy za młodu uczyli się łamać ze słabością. Jednakowoż z czym młodzi mają się łamać, skoro dopiero zaczynają swoją życiową drogę? Jak mogą biec nie umiejąc chodzić?

Popatrzmy na dzisiejsze gazety, galerie malarskie, kina i inne karykatury. Spytajmy, gdzie jest klasyka, kto widział w repertuarze Felliniego, Bergmana, Kurosawę, a w telewizji program edukacyjny? Zobaczmy, co preferują nasze wydawnictwa i czy warszawski „Przekrój” kontynuuje krakowskie uprzyśtępnianie najlepszej prozy? Nic z tych rzeczy! Galerie pokazują genitalia na druciku, telewizja przedstawia filmowe jatki z meksykańską piłą w roli głównej, czasopisma – poetyckie i prozatorskie gnioty, a Szekspir w ujęciu współczesnych adaptatorów ma umysł przewartościowany kretynizmem.

To nie politycy każą się zachwycać bde-

tami. To wykonawcy ich woli, twórcy gazet, teatralni i filmowi reżyserzy – wizjonerzy, telewizyjni układacze ramówek, misjonarze bezguścia, działając na zamówienie gawiedzi, zapędzają oglupiałe społeczeństwo prosto do rezerwatu o nazwie kulturalny Biskupin XXI wieku.

## Kuplety siwej łepety

Lubię myśleć o sobie w superlatywach, pieścić w sercu przekonanie, że jestem chodzącą doskonałością, wzorem do naśladowania i pokazywania na kongresach. A kiedy tak myślę, to martwi mnie fakt, że oprócz mnie nikt nie podziela tego zdania, odwrotnie, po znajomych krąży opinia, że jedynym miejscem do pokazywania mojej czcigodnej osoby byłby jarmark z brodatymi kobietami.

Być może to prawda, lecz wolałbym nie mieć podobnych frasunków, pragnąłbym uważać, że nie poznano się na moich zaletach i są one niezbywalne; w gruncie rzeczy powinienem mieć przydomek „nie rozumiem”, ponieważ większość moich wypowiedzi zawiera te słowa.

\*\*\*

Przyznawanie się do braku rozumu ma pewien urok, o ile jest kokieteryjną, przymrużeniem oka, figurą stylistyczną, celowym zabiegiem w stańczykowskiej poetyce i kiedy zdarza się z rzadka, od wielkiego dzwonu, ot, incydentalnie, jak precedens; ostatecznie nie wie się wszystkiego. I chwalić Boga, że z rzadka i że się nie wie, ponieważ gdy robimy to bez przerwy, proceder ów zaczyna być z lekka wkurzającą manierą, nawykiem, zręcznym przynudzaniem.

Co mnie skłoniło do podobnych rozważań? Prawdopodobnie wpłynął na ich zmianę opór materii, konsekwentne zaprzeczanie głoszonemu przeze mnie poglądom, chwila zastanowienia, że kiedy wielu ludzi powątpiewa w ich słuszność i mówi wprost, że osioł, to może powinienem sprawić sobie siodło, posypać głowę szufelką popiołu i pokatulać się do Canossy.

\*\*\*

Fruwam po Internecie, czytam to i owo, tu i tam podczepiam się pod jakąś interesującą dyskusję i biorę w niej udział próbując wysondować, czy moje zdanie o upadku kultury i twórczości ma szersze poparcie. Jednak okazuje się, że jestem w mniejszości, większość natomiast twierdzi, że ani z kulturą, ani z twórczością nie jest tak apokaliptycznie, jak mówię.

cdn.

**Marek Jastrząb**

## Mniej Więcej (138)



Foto: Zofia Mikula

## Sokrates nadal tańczy

W serii „Biblioteka Toposu” ukazał się nowy tom wierszy Tadeusza Chabrowskiego pt. „Dom w chmurach”. Nie pierwszy, rzecz jasna, bo jego przygoda z poezją zaczęła się na początku lat 60-tych. To poeta o ciekawym życiorysie. Był paulinem na Jasnej Górze. Stamtąd wysłano go do „amerykańskiej Częstochowy”, czyli do Doylestown (USA), ale po stosunkowo krótkim czasie porzucił habit i stał się cywilem. Zaczął też publikować wiersze, z powodzeniem próbował prozy. No i dziś ma już dorobek niemały. Angażował się też aktywnie w życie Polonii amerykańskiej. Mieszka w NY, bywa w Polsce.

### Leszek Żuliński

No to teraz zajmijmy się tym nowym zbiorem wierszy Chabrowskiego... Może najpierw wyimek z komentarza Tadeusza Dąbrowskiego, zamieszczonego na plecach okładki: *Tadeusz Chabrowski wierci się jak urwis na lekcji religii, jest podejrzliwy wobec wszelkich dogmatów, doktryn filozoficznych i gotowych przepisów na szczęście. Nieufnie spogląda także na siebie, na własne postępy i postęпки liryczne, dlatego nie grozi mu kaznodziejstwo i patos. Wciąż potrafi osiągnąć czystość widzenia dziecka, ten rodzaj naiwności, którym oddycha dusza.*

Tak, Dąbrowski trafił w sedno. Te cechy od dawna towarzyszyły poezji Tadeusza. Tkwi w nim jakiś taki *enfant terrible*, nie szalejący na oślep, lecz niezwykle subtelnie, z nutką sarkazmu, ciepłego żartu, opowiadający świat i nasze w nim kokoszenie się. Ma także dar subtelnych asocjacji i lekkość pióra wobec „ciężkości” tematów. Innymi słowy jest cudoownie komunikatywny, nie będąc ani przez

chwilę banalnym. Fircyk czy filozof? Powiedziałbym: *Sokrates tańczący...*

No ale przejdźmy do rzeczy... Na początek zacytuję wiersz pt. *Wiersz: Z chmury obrazów, które kłębiły się w głowie / zostaje tylko jeden // zanim zdąży znaleźć kartkę i ołówek / błąka się po głowie, zagląda do oka, / by sprawdzić pogodę na zewnątrz // szepcze nieśmiało a tajemniczo / pyta o litery rozproszone w książkach, / szuka tych ulotnych, pełnych powietrza // trwa jeszcze przez chwilę / nim zdąży zapisać go na papierze // przerażony moją bezradnością / często znika / zniechęcony brakiem talentu, gestem z ramienia, / a nie z nadgarstka, któremu nie chciało się trudzić, // to, że nie zaprotokołowałem jego istnienia / zostawia płamę na moim sumieniu.* Jak widać jest to wiersz klasycznie autotematyczny na temat „molestowania się” z wewnętrznym nakazem rejestrowania skądinąd codziennej rzeczywistości. Sporo tu autoironii – niemalże donkichoteria zmagania z wiatrakami zwyczajności. Już nie wnikam dalej, bo chodzi mi głównie o to, że Chabrowski na co dzień postrzega rzeczywistość przez poetyckie okulary. Należy do tych autorów, którzy „z niczego” robią wiersz. Ale ten wiersz nie jest o niczym, bowiem w twórczości Tadeusza nie ma linii demarkacyjnej między językiem a reizmem. Wszystko, co namacalne jest „mielone” przez język, odczucie, wyobrażenie. Ta spójność czyni te wiersze naturalnymi, wiarygodnymi i – rzekłbym – czuymi. Nie pamiętam, bym czytał Chabrowskiego-frustrata. Wliczam to w jego życiową filozofię i pogodny stoicyzm.

Zdarzają mu się także wiersze żartobliwe, jak ten pt. *Portret: Namalowałem portret przyjaciela / wyglądał w nim jak owad / chudy i krzywy / Portret przymocowałem do słupka kościelnej furtki / która skrzypiąca przy najmniejszym poruszeniu // wtedy przyjaciel na obrazie nagle zaczął się krtusić / pomyślałem – pewnie kolory farb go gryzą // sięgnąłem pędzlem do beczki / z farbą w odcieniu garnituru, który nosił / a on przez ściśnięte gardło syknął: / jestem płaski, nieruchomy i krzywy.*

Wciąż najistotniejszym pytaniem w przypadku tego autora jest autobiografizm jego pisania. Autobiografizm w habicie. Minęło sporo lat od jego wystąpienia z zakonu, coś się zapewne „zresetowało”, ale nie do końca. Solidnego „rozliczenia” dokonał Chabrowski w swoich powieściach, ale i tu, w tym zbiorze, znajdujemy odnośne „obciążenie pamięci”. No cóż, biografii nie da się ot tak strzepnąć z siebie palcami, ale przemilczeć już łatwiej. Jednak z tomiku na tomik Chabrowski coraz mocniej rozbudowuje swoją własną „lokację egzystencjalną”. Religia coraz rzadziej znajduje tu role dla siebie. Nie chcę przez to powiedzieć, że poeta się ateizuje, ale że autonomizuje – to pewne. Jego ego wyraźnie chce się wybić na jego Ego. Jego tożsamość pragnie być wyrazista i samowładna. Znamiennym wydał mi się wiersz pt. *Prze-*

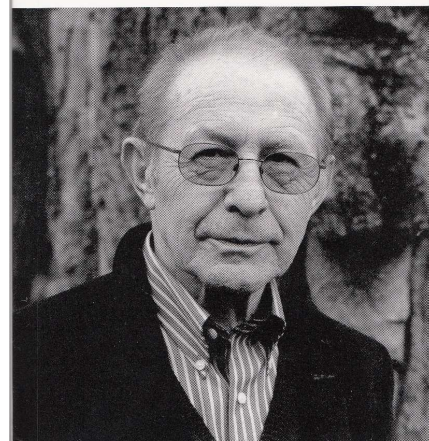
*znaczenie: W nieskończonym świecie przedmiotów i kamieni / przeznaczenie zagradza mi ścieżkę / patrzę w niebo / czy tak być musi? // Suchym liściem woli, płatkami wyobraźni i kolcem rozumu / nie uszkodzę metalowej obręczy koła / choćbym ciągnął jak wół towarowe wagony / po szynach // Zostałem sam i tylko sam w pustym kosmosie. Puenta brzmi wręcz nihilistycznie. Ale to przecież walka o własną podmiotowość, to próba usamodzielnienia się od „odgórnego regulaminu”. Lecz cały czas podkreślam, że Chabrowskiemu daleko do ateizmu. Jemu głównie chodzi o religię miłości, wolności i tolerancji. I o zdjęcie embarga na indywidualizm. I to sobie wywalczył.*

Pięknie brzmi wyimek z jednego wiersza: *choć wiem, że niedoskonałość jest brakiem bytu / otwieram okna na przestrzał / i wyrzucam to, co już nie ma znaczenia: / meble do siebie nieprzystające, / zagadkowe rebusy, które kiedyś rozwiązywałem / z taką łatwością, / delfina w pomidorowym sosie / krzywe modele życia / do których dopasowywałem / swoje ascetyczne ciało, aby uratować od śmierci duszę.*

Tak, cała wieloletnia twórczość Tadeusza Chabrowskiego jest „wybijaniem się na niepodległość”. To się na pewno udało, choć sporym kosztem. A my mamy teraz jego twórczość: mądrą, pełną fantazji i osobliwej lekkości, a nawet dowcipu. To była trudna droga, lecz pięknie pokonana.

Tadeusz Chabrowski

Dom w chmurach

Tadeusz Chabrowski, *Dom w chmurach*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2016, s. 60.

## Janusz Orlikowski

\* \* \*

chciałem zapiąć myśl  
na ostatni guzik  
urwał się

i powstał wiersz

\* \* \*

na chodniku czasem  
grosik  
jak grzyb w czasie suszy

przyjemne zdarzenie w drodze

\* \* \*

duchowe materialne niespodzianki  
są z tej samej przyczyny:

Boga

## Aleksandra Pijanowska-Adamczyk

### Aktualnie

napakować słów  
beżładnie  
w dziurawy wór  
niech się stłoczą  
po brzegi chaosu i  
tak spłyną wypchnięte  
skrzeczającym bełkotem  
aż rozleją się  
w grząskie kałuże  
obmierzłej głupoty  
tych nieuleczalnych  
wodzonych na smyczy  
przez  
dętych bufonów  
polityki

## Areopagi

sądy skorupkowe  
zapaszek inkwizycji rozdyma im nozdrza  
blade oblicza masek podbarwia niezdrowo  
podniecający szelest akt apetyt zaostrza  
aż przelykają ślinę gorzką od pół-głodu  
pół-niecierpliwości czekania na żer  
ach nasycić się wreszcie podejrzaną wiedzą  
co i kto popełniał występne knowania  
więc skazać na banicję  
niesłusznych wykluczyć przekreślić  
i będzie znów schludnie i czysto  
w gronie obrońców narodu

## Klekot

gęgają gruchają  
tokują terkoczą  
gulgoczą bełkotliwie  
skrzypią przenikliwie  
trzepoczą szmerliwie

solo raz  
parami wtórem wraz  
i po troje  
i znów po dwóch po pięciu  
równocześnie  
basem bach  
sopranem szklanym tnij-aach  
tenorkiem mlaask – klaask  
altem chrum – brum

przemówień czarr  
dysputy gwarr –

politycznych bytów opary  
rozkoszny żar języki w ogniu

dalej rozwińmy sztandary  
i w bełcie marsz  
z klekotem  
dokąd – a kto to wie  
może w chwaściska roztopy  
nieużytki wyboje wyrwy czy wąwozy  
do zwycięstwa

czyjego?...

## Po sumie

Namaszczona  
świętymi darami  
słowa  
opuściła Przybytek  
Ducha  
w stanie nieważkości  
płynąc nad ulicą

obrzucając pobłażliwym wzrokiem  
mijane samochody  
z rosnącą w sercu  
zasłużoną dumą

rozpamiętywała  
wyjątkową szlachetność sylwetki

własnego  
świeżo zakupionego  
mercedesa

## Szłam do ciebie...

Szłam do Ciebie ścieżkami krętymi  
i nie brałam darów pełną garścią  
lecz je kradłam chyłkiem, z lęku drżąc,  
ja nie miałam klucza do Twych bram,  
tylko wytrych, wyszczerbiony rdzą.

Niedosiężni Uczeni gdzieś, w Piśmie  
wyroki ferowali na mnie,  
kokonami żalu otuloną,  
że nie mogłam i nie śmiałam przysiąc  
u podnóża Twojego Tronu --

...i wciąż nie śmiem –  
może nie dość  
chęć...

Kiedykolwiek

...znam tylko moje miejsce na ziemi...

## Stanisław Stanik

### nagrobek

wszystko co drogie  
odjęli

wrażliwość  
wywrócili na opak

miłość  
zachowali w zaprzeczeniu

talent rozpisano  
na wersety

rozebranego  
z celu złudzeń  
wrzucono do piachu  
na nagrobku  
napisali: stary poeta

### święty Franciszek poznaje prawa tego świata

łamię z głodnymi chleb  
osiółkowi podaje koniczynę  
sikorkom plastry słoniny

drzewo polewa wodą

miło widzieć  
jak świat pnie się i rozrasta wszędy  
nabiera napięcia w mięśniach  
tryska humorem

Franciszek tańczy z radości

ma przyjaciół nawet u wilków  
które liżą jego utrudzone stopy

im jednak dłużej służy  
i roznosi z serca  
tym większe pustki ma w torbie  
a przed nim narastają kolejki

zapasy nikną  
nie widać końca potrzeb

usuwa się do jaskini  
aby ująć przed tłumami  
które chcą okrzyknąć go królem  
gdy nastarczy

z bólu dostaje stygmaty  
wie że świat nigdy nie będzie szczęśliwy

## Tadeusz Chabrowski

\* \* \*

byłaby to jakaś niedorzeczność  
gdyby ból mógł błąkać się po świecie  
samowolnie

ból zęba tańczący na jednej łyżwie  
po trzech hektarach zamrożonego jeziora  
– to totalna aberracja

lepiej powiesić siebie samego na gałęzi  
abstrakcji  
albo umrzeć na jakieś zmyślenie  
które może się sprawdzić

### Anioł 2013

Wchodzę na dach z laserem, z którym  
cowboy z Colorado  
łowił niegdyś dzikie konie  
i rzucał nim dla zabawy w przestrzeń  
spłoszone ptaki kroją powietrze na plasterki  
po chwili czują szarpnięcie,

z mgły wyłania się anioł w srebrnej  
kamizelce  
ma wyłupiaste oczy, lśniące skrzydełka  
szarańczy  
i pętlę na szyi

## Marcin Liszkiewicz

### Emocja

Złość ma malinowy uśmiech  
nierówny i lepki makijaż  
ciepły mus, roztopiający waniliowe lody  
tworzony w atmosferze nagonki  
na oddziale dla nigdy niezrozumiałych.

Złość ma twarz Jokera – stereofoniczny  
chichot  
szpikulec rozgrzany południowym  
temperamentem

zachodzącego słońca  
czas nie leczy ran, lecz je tworzy  
usta bez warg zaciśnięte  
biel twarzy  
błysk szpady.

Złość jest kością wyssaną z życia i manier  
przekleństwem przodków  
pląsającym między pokoleniami  
archeologicznym zadziwieniem,  
za każdym razem odkopywanym  
w coraz to lepszym stanie zakonserwowania.  
Pomostem pomiędzy religiami,  
kolorami  
i nacjami.

Złość to potencjał nie do końca  
wykorzystany.  
Dlatego wciąż żyjemy.

### Miska czereśni

Weszła  
Usiadła przy pianinie  
Zagrała  
Dobrze wiedziała, że tam byłam  
Czytałem poranną gazetę  
Niewzruszony – aż do teraz.

Dźwięki poloneza Chopina wylały się  
na białe ściany, lilie  
I starodawny, wysoki sufit.  
Ukryty za moim zakłopotaniem

I gorliwością zawładnięcia.  
Musiałem być dzentelmenem  
I spojrzałem na miskę czereśni  
Zamiast.  
Czy to dobry wybór?  
Czas pokaże.

Zapach kobiety  
Aromat  
Wypełnił pokój.  
Nogi nieznacznie rozchylone  
Spódniczka nieco powyżej różowych  
jabłuszek – kolan  
Musiałem zaczerpnąć powietrza  
I utrzymać swoje zmysły na krótkiej smyczy.  
Gryzienie jest zabronione wśród arystokracji.  
Czereśnia w moich ustach  
I czerwony ślad na jej szyi.

### Zatrącenie

Oglądam świat z perspektywy butonierki  
amanta,  
późne lata 70., XX wieku.

Dancing *Banderoza*, jak co wtorek  
w Tarnobrzegu zimą.  
Lisie futra farbowane ostrych wnyków krwią  
wiszą na eleganckich wieszakach;  
fetysz ulizanego szatniarza, który z nudów  
werbluje stwardniałymi opuszkami palców  
w rytm hymnu Włoskiego.  
Handluje Dumontami i marzy nierealnie  
i świńsko.

Krew z rąk nie domywa się łatwo  
100gr wódki,  
śledzik,  
bąk...i tańczymy.

Brylowania czas umyka wartko.  
Brylantyna matowieje szybko.  
Bez połysku człowiek pyłem nieciekawym...  
Jednym z wielu, najprawdziwszą formą.  
Nikt nie patrzy.

Kłamstwo jest odbiciem prawdy  
100gr wódki razy trzy,  
tłusty ekler,  
i tańczymy.



Magdalena Kapuścińska

# Poeci w walce o Niepodległą

Nucę pod nosem piosenkę Danuty Rinn, mając na myśli bohaterów Powstania Warszawskiego (1944): *Gdzie ci mężczyźni, / prawdziwi tacy, / orły, sokoły, herosy?* Byli to prawdziwi patrioci, którzy nie mieli gęby wypchanej bogoojczyźnianymi frazesami. Przecież nie na tym polega patriotyzm, żeby mówić o tym, że poszłoby się walczyć, lecz walczy się w chwili zagrożenia wszelkimi dostępnymi środkami. Tak właśnie postąpili bohaterowie Powstania Warszawskiego, którzy czynnie wzięli udział w akcjach przeciw nazistowskiemu okupantowi, jednocześnie piórem zostawiając ślad w zbiorowej pamięci narodu o czynach ludzi, którzy zginęli w powstaniu, jak również o obrazie zniszczeń nie tylko stolicy, ale i skrzywieniu psychiki uczestników tego niepodległościowego zrywu, czy też strachu, który nimi miotał. Wystawili świadectwo prawdziwemu bohaterstwu młodych ludzi w obliczu śmierci, przyprowadzając jednocześnie gębę naszym ówczesnym sojusznikom.



**Juliusz Kaden-Bandrowski**

Wśród literatów powstańczego okresu można byłoby wyróżnić poetów: Lecha Strońskiego, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (Jan Bugaj), Tadeusza Gajcego (Karol Topornicki), Józefa Szczepańskiego (Ziutek), choć to nie jedyni twórcy poezji walczącej Warszawy. Należy również wspomnieć prozaika, publicystę i działacza społeczno-politycznego Juliusza Kadena-Bandrowskiego, który wraz z innymi zginął w Powstaniu Warszawskim. Jako żołnierze Armii Krajowej, zginęli także jego dwaj synowie. Sam Kaden był postrzegany

jako następca Stefana Żeromskiego. Jego powieści cechowały się rzetelnością historyczną i faktograficzną, brutalnością, behavioryzmem, naturalizmem i cielesnością. Kaden-Bandrowski ostro atakował elity polityczne i politykę, traktując ją jako brutalną grę interesów i ambicji jednostek żądnych władzy, zaszczytów i bogactw.



**Tadeusz Gajcy**

W 1944 roku literaci strzelali do dziś świszczącymi w sercach słowami, pogłębiając każdym stworzonym z wersów pociskiem pamięć o poległych podczas 63-dniowej nierównej walki o Warszawę. Poezja z czasu powstańczego to liryka, która niesie bolesne emocje i wzbudza litość. Są to strofy pełne bólu, strachu i odwagi. Wiersze i pieśni, które powstawały w głowach powstańców podczas nalotów, świstu bomb, walk czy strzelanin, nie potrzebowały stołu, wygodnego fotela czy złotego pióra. Rodziły się w bólu, ruinach, schronach, okopach, na barykadach na szarych, pozbawionych życia ulicach. Można powiedzieć śmiało, że jest to „czarna perła” kultury polskiej. Pisano, żeby wyrzucić z siebie żal, ból i strach, dodać odwagi, wezwać braci do walki i wołać o pomoc. To wtedy powstała pieśń autorstwa Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego *Warszawskie dzieci*, nieoficjalnie pełniąca rolę hymnu walczącego miasta:

*Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój,  
Za każdy kamień Twój, Stolicu, damy krew!  
Warszawskie dzieci, pójdziemy w bój,*

*Gdy padnie rozkaz Twój, poniesiem wrogom  
gniew!*



**Stanisław Ryszard Dobrowolski**

Echo walki o stolicę rozeszło się po zakątkach świata, a przynajmniej Europy, co sprawiło, że przebywający na emigracji w Londynie poeta Jerzy Pietrkiewicz złapał za pióro i patrząc z innej perspektywy, napisał jeden z najpiękniejszych powstańczych liryków *Warsaw Concerto*:

*Tego koncertu nie nagrasz  
na żadną płytę,  
płyta od gniewu pęknie,  
melodii odpowie zgrzytem.*

*Tu mówi Warszawa* to czterowersowy radiowy komunikat, którego autora nie dało się ustalić. Jest on świadectwem bohaterstwa ludu Warszawy. Pamiętać warto, że ten krótki tekst wzbudził zachwyt sojuszników dla postawy Polaków na tyle, że zmienili swoje podejście do powstania.

*Uwaga! Tu mówi Warszawa!  
Notujcie w Trybunach i Times'ach.  
Trzymamy się jeszcze. Słyszycie? Uwaga!  
Robotnik, lud, dzieci na szanach!*

Jednym z autorów poezji najbardziej zaangażowanej w sprawę powstania jest Zbigniew Jasiński *Rudy*, nazywany Poetą Powstania Warszawskiego. Jego powstańcze utwory zdobyły sławę w Stanach Zjednoczonych i Anglii oraz wielokrotnie były cytowane przez prasę emigracyjną i radio:



*Sierpień dziś w mieście rozgorzał,  
Na piętrach, dachach, w piwnicach,  
Promienny i krwawy jak zorza,  
Radością pogonił w ulicach.*



**Zbigniew Jasiński**

W poezji Jasińskiego widzimy czarno-biały świat w symbolicznym podziale na dobro i zło. Jego poetyckiej twórczości nie są też obce potężne emocje, które w ekspresyjny sposób wyłaniają się z serca poety i innych walczących:

*Hallo! Tu – serce Polski!... Tu woła –  
Warszawa...  
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!...  
Nam ducha starczy dla nas, i starczy go dla  
was.  
Oklasków też nie trzeba. Żądamy – amunicji!!!*

Ludzie szeroko pojmowanej kultury, w tym poeci, pisarze, rysownicy, naukowcy i muzycy, znaleźli się w trudnej, wręcz dramatycznej rzeczywistości. Niemal wszyscy poparli walkę z hitleryzmem w Warszawie. O powstaniu pisał również Jan Brzechwa, ale jego utwory nie zostały docenione przez krytyków. Zostały uznane jako przejawskrawione i nadęte patosem.

Jednym z niesłusznie zapomnianych dziś powstańczych poetów jest Mieczysław Ubysz *Wik* lub *Vik*, podchorąży oraz spiker powstańczej radiostacji *Błyskawica*. Miał on swój niepowtarzalny styl, który uwidocznił w ciekawej konstrukcji i formie. Jego utwory są pełne patosu i emocji, jak np. *Stare Miasto*:

*A dzisiaj nad dziecięciem, poczętym w  
płomieniach  
Stoisz – ściskając pięści, jak Niobe milczenia.  
Idę ulicą Twoją i widzę Twe rany:  
Ziejące martwą pustką czarno-krwawę  
zgliszcze,  
Mur, nad głową schylony w ukłonie pijanym,*

*I zda się, że strop pęka w jadowitym świecie.*



**Mieczysław Adam Ubysz**

Najbardziej nietuzinkowa postać wśród poetów okresu powstańczego, to *Ziutek* Józef Szczepański – żołnierz *Parasola*. Był świetnym obserwatorem i doskonałym sprawozdawcą, który z powodzeniem wykorzystywał w poezji wydarzenia prosto z frontu. 24 sierpnia ukazał się wiersz *Dziś idę walczyć – Mamo!*, który był jednym z ostatnich utworów młodego poety-żołnierza:

*Dziś idę walczyć – Mamo,  
Może nie wrócę więcej,  
Może mi przyjdzie polec tak samo,  
Jak tyle, tyle tysięcy.*



**Józef Szczepański**

Poetą-symbolem Powstania Warszawskiego jest oczywiście Krzysztof Kamil Ba-

czyński. Jego poezja jest bardzo zaangażowana w doświadczenia narodu podczas walki w powstańczej Warszawie, a także wypełniona strachem i myślą o przedwczesnej śmierci:

*Tak się dorasta do trumny,  
jakeśmy w czasie dorosli.*

Baczyński ukazuje tragizm młodego człowieka, który zamiast kochać, uczyć się i szaleć – czuje się zobowiązany do walki o ojczyznę. Jest to okrutny świat młodego człowieka, którego tłem jest przyroda, pozor-na cisza, groza oraz ludzie przerażeni i niepewni. Krzysztof Kamil Baczyński był jednym z poetyckich wizjonerów czasu okupacji i pisał o pokoleniu skazanym na obcowanie ze śmiercią. Jednym z najgłośniejszych wierszy Baczyńskiego jest *Elegia o... [chłopcu polskim]*, która ukazuje niczym wyrocznia przeznaczenie jego pokolenia.

*I wyszedłeś jasny synku, z czarną bronią w  
noc,  
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.  
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś  
ręką.  
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?*



**Krzysztof Kamil Baczyński**

Widać w poezji Baczyńskiego pesymistyczną wizję pokolenia czasu wojny, doświadczonego cierpieniem i okrucieństwem. Ci młodzi ludzie zmuszeni zostali dorosnąć do śmierci, która czyhała na nich na każdym kroku i w każdej minucie.

Analizując „czarną perelkę” polskiej kultury, da się zauważyć wizjonerstwo upadku powstania. A jednak... walczyli i wierzyli do końca. Wszyscy z nich niewątpliwie są bohaterami. Chwała i cześć ich pamięci! Baczyński i *Ziutek* są dla mnie niekwestionowanymi mistrzami, od których czerpię naukę w kwestii patriotyzmu, historii, miłości, tworzenia poezji czy zaufania Bogu.

**Magdalena Kapuścińska**

Ryszard Klimczak

# Reduta może być, jakkolwiek chodzi jednak o Redutę Ordona

Reduta, jakby się kto pytał, bo nie raczy wiedzieć, a skoro nie wie, to ten ktoś powinien się odrzucić i zapytać tych co wiedzą, aby się oświecić, gdyż na naukę nigdy nie jest za późno, albowiem wiedza to potęgi kluczy, klucz zaś warto zawsze mieć pod ręką, choćby do otwierania czegokolwiek, jest więc reduta, co upubliczniam ogłaszając niniejszym wszem wobec i każdemu z osobna, aby powszechnie uczynić wiadomym – więc reduta jest to budowla typu wojskowego, krótko mówiąc – fortyfikacja.

Wyjaśniając rzecz, bo rzecz się ma na rzeczy, bardziej szczegółowo, bardziej drobniawo, choć – ho! ho! – to żaden jakikolwiek bądź drobniawo, reduta jest więc wielobocznym połowym szańcem.

Kto nie wie, co to jest szaniec, niech zajrzy do encyklopedii lub odwiedzi Anielin, gdzie wznosi się Szaniec Hubala, uświęcający pierwszego partyzanta drugiej wojny światowej.

Reduta, czyli szaniec, jest z reguły obwarowana niczym warownia. Określenie warownia, w odniesieniu do osoby ludzkiej, znaczy tyle co: wara ci od tego. Natomiast w języku psim rozkazuje: – Waruj, psia mać, ani się rusz! Więc wierny rozkazom pana pies waruje.

Warownia, czyli szaniec, czyli reduta jest zwykle obwarowana palisadą, niekiedy z drzewa palisandrowego.

Reduta może być okolona ostrokołem, workami z piaskiem, głazami z Gołoborza, murem pruskim, wałem ziemnym, wałem przeciwczołgowym, niekiedy wałem pomorskim, na którym niczym pod Samosierrą ginęli polscy bohaterowicze, ale także żołnierze ruscy oraz innych środkowoeuropejskich i azjatyckich nacji. Walczyli i ginęli za naszą i, oczywiście waszą, wolność. W zasadzie wolność jest tylko jedna. Nie ma żadnej naszej i waszej.

Owy wał nie ma nic wspólnego z niegdyśszą grupą wokalną pod wezwaniem „Wały Jagiellońskie”, ani – wręcz nie wypada wspominać bez naruszenia dobrych obyczajów – z gestem świetnego sportsmena, niejakiego Kozakiewicza (no-men-omen), informującym zebranych kibiców na stadionie olimpijskim, co to jest wał. O, takiego wała! – chciałoby się dopowiedzieć, pokazał w znanym międzynarodowym idiomie znakomity zawodnik.

Wspomniany gest bywa często gęsto wzmacniany publicznym słowem, którym posiłkują

się, wyrażając swoje wzruszenia, lumpy i kloszardy podczas wymiany poglądów na różne, najczęściej osobiste i rodzinne, głównie intymne, tematy, traktujące niekiedy o drzewie genealogicznym, nawiązujące do korzenia lub mamusi uprawiającej najstarszy zawód świata.

Posiłkowanie się słowno-muzyczną poetyką w celu szczególnego uwypuklenia tekstu migowego, jest globalnie prezentowane od Chicago, przez Warszawę do Tobolska, żeby Polska, żeby Polska, żeby Polska była Polska. Co tam, chodzi nie tylko o to, by unaocznic, ale także unausznic.

Gestami można również pożegnać, powitać, pozdrowić. Pozdrowienia bywają różne. I różnie się na nie odpowiada.

Pewien siedmioletni szczył, aspirant Krucjaty, bardzo wziął sobie do serca tekst i treść pozdrowienia, jakim powinni się obdarzać aspiranci oraz rycerze Krucjaty. Więc gdy spotkał na ulicy rycerza, dwunastolatka, stanął przed gnojkiem na baczność, wypowiadając nakazaną przez katechkę formułę powitania: – „Króluj nam Chryste!”. Odpowiedź winna była brzmieć:

– „Zawsze i wszędzie!” Ponieważ jednak rzeczywistość zwykle jest brutalna, rozmija się często z wzniosłymi niekiedy ideami, rycerz w odpowiedzi na pozdrowienie szczyła-aspiranta zawarczał: – Spieprzaj gówniarzu!

Zawiedziony aspirant zszedł z drogi rycerzowi nieomal ze łzami w oczach, goryczą w sercu i połamaną duszą. I tak oto skończyła się aspirantura w Krucjacie Eucharystycznej.

Z pozdrowieniami bywa różnie. Górnicy na przykład w Europejskich Zagłębiach pozdrawiają się zwolaniem Glück auf lub Szczęść Boże, leśnicy – Darz Bór, zuchy – czuj, harcerze – czuwaj, partyzanci z kieleckich lasów – cześć, a żołnierze regularnej armii, w odpowiedzi na powitanie, wyrażone przez generała albo prezydenta podczas generalnej inspekcji lub przed pałacem: – Czołem żołnierze!, odpowiadają: ...łem ...pnie ...rale lub hurt ci w detal. Jak zresztą który żołnierz, co uzależnione jest od tego, na ile boleśnie dokopała mu fala.

Więc reduta, bo ciągle jeszcze o niej mowa w niniejszej rewizji nienadzwyczajnej, była urządzeniem raczej obronnym, broń Boże nie zaczepnym, ani agresywnym, ani też terrorystycznym, użytkowanym często gęsto podczas pierwszej rzezi światowej, (ale wcześniej też), podczas której Polacy doczłapali się w onuchach do tak zwanej niepodległości. Boso, ale

w ostrogach. Osiągnęli tę wolność po wielu latach obcej niewoli. Obcej, bo rodzima także może być.

Więc ta pierwsza jatka światowa miała poniekać swoją dobrą stronę, to znaczy nie tyle swoją, co polską. Podobnie jak medal za odwagę, który ma stronę wierzchnią i spodnią. Nie znaczy to, że spodnią stroną należy medal zawieszać na spodniach. Słowem, jak każda moneta, medal ma awers i rewers.

Była reduta, jak się rzekło, użytkowana podczas pierwszej dość powszechnie. Wcześniej, jak się rzekło, też.

Żartownisie używali nazwy reduta do określenia balu maskowego, czyli maskarady, niekiedy w ostatki, ani w Rio de..., ani innego dyplomatycznego rautu.

W tej nazwie kryje się jakaś kosmiczno-katastroficzna, magiczna zła moc. Taka siła fatalna. Wystarczy na poparcie tej kabalistycznej aury, tkwiącej w nazwie, przywołać wręcz pejoratywne określenie w rodzaju reduktor lub redukcja. Redukcja kojarzy się nieprzyjemnie z dziewiętnastowiecznym, ale niekiedy, kapitalizmem oraz bezrobociem. Kryzys. Sytuacja dramatyczna.

Redutą nazwano teatr i Instytut Teatrológiczny, założone przez panów Osterwę i Limanowskiego w Warszawie roku 1919. Teatr wraz z instytutem wkrótce, to jest w 1931 roku, został przeniesiony do Wilna, które po rebelianckiej wyprawie niejakiego Beliny przycumowano do przedwrześniowej, drugiej Rzeczypospolitej, bo po wrześniu nie było by to możliwe. Inna epoka. Rzecz pospolita wcale nie musi być równoznaczna z rzeczą prostacką.

We wrześniu 1939 roku astralne promieniowanie, bo cóż by innego, przeniknęło szare komórki pewnego jamochłona. Otóż ten pierwotniak został opanowany przez bakterie wielkości, w związku z czym zachciało mu się przewodzić, bądź co bądź, cywilizowanemu narodowi Goethego, Schillera i Heinego. Zresztą z powodzeniem. Ten, bądź co bądź, oświecony naród dał się całkiem ogłupić, mianując jamochłona, z woli narodu, wodziem.

Wodzowi, nieoczekiwanie zachciało się korytarza sąsiada. Nie, żeby tam jakiegoś wychodka lub przedpokojku. Skąd. Po prostu – korytarza. Sąsiad nie był jednak skłonny pozbyć się czegokolwiek, nie mówiąc o korytarzu. Polacy nie lubią gdy im byle kto wyciąga łapę po korytarz. I tak oto, rozpułała się druga światowa jatka.

Obyła się bez ređut, bowiem w wyniku postępu technicznego przerodziła się w wojnę błyskawiczną, trwającą zaledwie sześć lat, więc znacznie mniejszy przedział czasu niż jakaś tam wojna trzydziestoletnia, o byle co. W każdym razie nie o korytarz. Reduty okazały się więc zbędne. Co najwyżej zdarzało się sypać wały – pomorskie, przeciwczołgowe oraz żelbetonowe budować bunkry.

Błyskawiczne wojny, jak błyskawiczne zupy, wcale nie okazują się takie znów błyskawiczne, chociaż toczą się z udziałem samolotów, samobieżnych dział, łodzi podwodnych oraz „tygrysów”, „leopardów” i „panter”. Przy pomocy „panter”, w ramach demobilu, Bundeswehra pragnie unowocześnić polską armię, sprzedając je po cenie złomu. Bundeswehrze oraz Kriegsmarinie podobna się raczej bardziej moderny sprzęt. Zresztą unowocześniona w ten sposób polska armia z łatwością poradzi sobie z Ali Babą i czterdziestoma rozbójnikami z AL-KAIDY bowiem amerykańscy kowboje nie mogą znieść rasy afgańskiej. Piękne, długowłose charty – afgany są dla komandosów oraz marines i wiatraków wielozadaniowych, bardzo niebezpieczne, właśnie z racji długiego, miękkiego włosa, który może się wkręcić w śmigło helikoptera.

Ten wykreowany przez, bądź co bądź, cywilizowany naród, na wodza furierek był prywatnie malarzem sztalugowym oraz plenerowym. No, może raczej pacykarzem, który lubił przekształcać oszalałymi urodziwe pejzaże w ruiny i zgłiszcza. Gdzie się tylko dało i gdzie popadło. Zamienił także polską ziemię w krajobraz po bitwie, niestety nie na płótnie lecz w naturze.

Przyglądali się jego plastycznym dziełom z niejaką abstynencją i pobłażliwością serdeczni sojusznicy chwilowo suwerennej i ponoć niepodległej. Aż do chwili zresztą, dopóki rozochocony pejzażysta (podobno matką była żydówka) również im nie dokopał tak mocno, iż musieli moczyć swój kaczki kuper w Bałtyku i Morzu Północnym. Zabrali się więc dość leniwie do roboty i wespół z niedawnymi antagonistami załatwili furierka na amen. Może i nie załatwili. Któż to wie?

Ten Osterwa, który przeprowadził teatr Reduty wraz z Instytutem Teatrolologicznym z Warszawy do Wilna, jest mało znanym artystą dramatycznym obecnie wegetującemu pokoleniu. Bardziej znany jest jego kolega od przeprowadzki – Limanowski. Ale raczej z całkiem innego powodu. Ma nawet opodał mojego miejsca stałego zameldowania (meldować się trzeba zawsze i wszędzie, jak w wojsku, aby nie zginąć i być na stanie) osobistą ulicę, wiodącą przechodniów z Łodzi do Aleksandrowa, ale nie Kujawskiego, lecz zwykłego, bardziej pośledniego Aleksandrowa, gdzie pewien jegomość w czarnej todze – podobno piekło jest pomalowane na czarno i diabeł też – pobłażliwie hołubiony przez znanego arcybiskupa, nie wydał zgody na budowę krematorium, instytucji świadczą-

cej usługi dla ludności, ponieważ mogłaby zagrozić parafialnej kasie. Diecezjalnej też. Wydaje się, że krematorium parafianie jednak zbudują, albowiem w sprawie parafialnego budżetu zainteresowani doszli do porozumienia. Salve Regina zawodzi się wszak równie godnie nad truchłem w dębowej lub ekologicznej trumnie, jak nad popiołem w pucharze lub urnie. W gruncie rzeczy nieboszczykowi wszystko jedno. Kościołowi też, byleby nie został naruszony kanon. I kasa się zgadzała. Współczesna społeczna nauka kościoła dopuściła pienia i modły nad trumną i nad urną po równo. Kanon, po zinterpretowaniu go odpowiednią glossą głosi wszak, iż z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. W termojądrowy pył, popiół i proch też. Po spaleniu ciała, oczywiście, w krematorium.

Reduta Ordon, bo w dalszym ciągu o tę redutę chodzi w niniejszej dysertacji, zaprogramowanej z inicjacji Instytutu Pamięci Narodowej, nie miała nic wspólnego z Hanką Ordonówną, przedwrześniową divą estradową, kabaretową oraz operetkową, prywatnie Anną Tyszkiewiczową, (terrio voto), z pewnością z hrabiów, bo nazwisko powszechnie znane wśród arystokracji, a także w środowisku aktorskim i w ogóle Bohemy. Do Ordonówny-Tyszkiewiczowej, oczarowany wokalistycznym jej talentem, baletowym wdziękiem i fizyczną urodą, smałił ponoć cholewki ułan Beliny, pupil i adiutant Dziadka, (broń Boże, oczywiście, dziadka Mroza), dziarski kawalerzysta, można rzec – zawiadka i kozak – co się zowie, niejaki Wieniawa.

Romantyczny ci on był też poeta i translator. Wypada zauważyć stanowczo, że cholewki, które smałił, nie były jakieś tam byle jakie cholewki, lecz solidne giemzowe cholewy do ułańskich bryczków i wysokich butów ze sztywnym napiętkiem i ostrogami. Lubili się w takie stroić szwoleżerowie, (ci, od „wypijmy zdrowie...”).

Ów Wieniawa, facet z fasonem, ułańskim wigorem oraz rycerskim stylem bycia, ujeżdżał damy z arystokratyczno-mieszczanckiego towarzystwa oraz zubożałych, co prawda, ale dobrych szlacheckich domów. Ujeżdżał też swoją kobyłkę, na której klusem pocwałował do gabinetu Dziadka w Belwederze, gdzie akurat Dziadek składał pasjansa. Ułańską szarżę pokonał też, jak głosi przekaz ulicy, schody hotelu Bristol. Zbudzony łoskotem kopyt końskich po inkrustowanych posadzkach, niczym rytmicznym hałasem perkusji, zerwał się z łoża mistrz Paderewski i obrażony wrócił do Ameryki. Zrzekł się przy okazji godności premiera w Drugiej Rzeczypospolitej. Spotkał go zawód. Nikt bowiem nie zaproponował Ignacemu posady prezydenta. Prezydentem natomiast nieco później został inny Ignac.

Wylegający się w tym samym Bristolu chłopak z Sosnowca, Jasio, muzycznie pobudzony dźwiękami kopyt wieniawskiej kobyłki wyskoczył w koszuli na balkon, by odśpiewać zgromadzonym pod balkonem wielbicielkom

nico dwuznaczną i lubieżną piosenczkę, przebój sezonu: „Brunetki, szatynki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...” Lubili śpiew i uwielbienie. A one, te wszystkie dziewczynki, wyły z zachwytu bez względu na kolor włosów. Entuzjazm rozwrzeszczanych bab zagłuszył kobyli łomot, która spadła ze schodów na koński zbity pysk. Na szczęście Wieniawie nic się nie stało.

Niektórzy historycy, ale kto by tam wierzył dociekaniom docieklivych Skunksnerków, że szwoleżer Wieniawa ze śniadania w Bristolu pogalopował na obiad wprost do restauracji Hawelki w Krakowie. Znałe były Hawelkowe obiady dla dyplomatów oraz kolacyjki w pułkowych kasynach dla oficerów, o których mówiło się: błyszcząca nędza. Ale nie taka znów ostra, jak w Rumunii. Król Karol Rumuński atoli wydelegował kompanię honorowo-reprezentacyjną na pogrzeb Dziadka bez butów. Po prostu – boso. Polski więc podatnik poczuł się do obowiązku zafundować huzarom reprezentacyjne sztyblety, aby honorowa, pogrzebowa kompania nie przyniosła wstydu Dziadkowi i Rumunii.

Inni docieklivi historycy twierdzą, jakoby Wieniawa wjechał na swej kobyłce również do zakrystii kościoła na Żoliborzu, gdzie, bywało, bywało, kapelan Popieluszko modlił się wraz z ludem żoliborskim o wolną i sprawiedliwą. Z tego też ponoć powodu jakieś tajemne gremia, może masońskie, uniemożliwiły objęcie posady prezydenta na wychodku. Cóż, persona non grata.

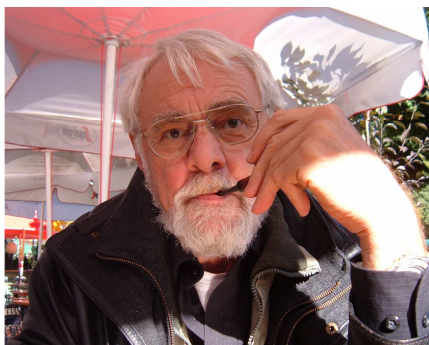
Tenże Wieniawa, jak już wyżej wspomniano, wielkim translatorem był. Nie przemierzając niczym Adaś M., który wielkim poetą był i jest nadal; to jest – dalej jest, to znaczy bliżej niż dalej jest nawet w oczach i opinii pokolenia, umiającego jeszcze czytać i pisać, dopóki, rzecz jasna, tego pokolenia nie wchłonę kompletnie TV oraz internet. Wówczas zapomni czytać i pisać. Pokolenie stanie się więc populacją wtórnych analfabetów. Społeczeństwo, wymedialowane na okrągło, będzie myśleć mózgiami prezenterów telewizyjnych i rozumować kategoriami rzeczników-nieudaczników.

Wracając do translacji – nie bardzo wiadomo z jakiego języka Wieniawa dokonywał wiekopomnych tłumaczeń. Nie warto dociekać, ani dochodzić. Bo i po co. Jeżeli był poniekąd trochę poeta romantyczno-kawalerski to zapisał się w historii literatury złotymi zgłoskami. Dusza szeroka, jak *strona rodnaja*, kazała mu wykrzesać z serca kilka patriotyczno-żołnierskich wierszy, poematów i pieśni legionowych. Wystarczy wspomnieć sławny „Wieniec pieśni ułańskich o przysiędze”. Był wszak ułanem Beliny.

O Belinie, który zajął wbrew rozkazowi Dziadka, wydanemu z przymrużeniem oka, obu oczu, powstało wiele tak zwanych legionowych piosenek i pieśni. Nie wszystkie zresztą napisał poeta Wieniawa.

(Dokończenie na stronie 24)

## Zamyślenia



## Ku pełni człowieczeństwa

Rzeczywiście zamyśliłem się nad tym, czy poezja może być obrazem Boga, obrazem takim jak człowiek, który takim obrazem jest. Marek Jerzy Stępień, poeta z Limanowej, organizator „Poetyckich Ogrodów”, w tym roku już trzynastych, wydał własnym sumptem dwa tomiki wierszy: *Sonetny dla Boga i U podnóża odwiecznej góry*. Czy ten wysiłek poety jest w porządku, kiedy wyciągając z pończochy ostatnie pieniądze, wyręcza plejadę wydawców w tym naszym biednym kraju? Czy nie jest to czyn heroiczny i zarazem smutny? Cholera wie! Życie każdego twórcy jest cierpieniem i to przeświadczenie dotyka czasów zamierzchłych i trwa dalej. To esencja bytu próżniaczego, bo w końcu kim jest taki poeta? I kogo dzisiaj obchodzi taki wewnętrzny nurt jego życia? W swoim dorobku poetyckim Stępień ma kilkanaście tomików wierszy i nasi Czytelnicy mieli okazję do kontaktu z jego poezją. Istnieją w literaturze, także poezji, fale mody, bijące o brzeg bryzgi uznania, jednakże prowincja, gdzie zazwyczaj rodzą się wspaniałe talenty, otóż ta prowincjonalność nie ma siły wpływu na owe wznieść się wyżyny. Z małej górkę Parnasu trudno się wzbąć i stanąć ramieniem w ramieniu ze szczęśliwcami z wielkich metropolii.

W ostatnim też okresie wielu takich szczęśliwców uczepliło się rękawa polityki (nie mylić z polityką kulturalną). Tacy sponsorzy własnych dzieł literackich w zasadzie nie liczą na sławę, bywają cisi, zagubieni w rozmachu wyobraźni, że można jakoś inaczej. Czy jest siłą ich niezależności odtrącającej rękę wydawcy, którzy ostatnio nie głaskają „kościolowych” poetów. Gorzej, bo sami zadają takim policzek. Poezja religijna nigdy nie była w naszym, bądź co bądź katolickim kraju, silna swoją niezależnością. Trwa pod tym względem jakaś złowieszczą monotonia. Autor *Sonetów dla Boga* wie, że ścieżki wiary zawsze prowadzą ku wyżynom piękna, piękna uduchowionego jakże dziś często pogardzanego, wyszydzanego nawet na łamach naszej „Gazety Kulturalnej”. Zdajemy sobie sprawę z tego, że niebo i ziemia nie są już takie same

jak przed dwoma tysiącami lat. Wiszą nad nami „skłębione, ciemne chmury, niechciana godzina” *Sonetny do Boga*, to rzeczywiście „dialog nieustanny między mną a Tobą”. Dialog poety z Bogiem trwa przez wszystkie 43 sonety skupiające w sobie żywe światło wiary. Poeta głęboko wierzący, czy to takie dziwne, nienaturalne? Można te refleksyjne utwory czytać bez porządku, zaczynając tam, gdzie otworzą się karty tomiku. Nie znajdziemy go w księgarniach, które, czego sam doświadczyłem, nie przyjmują religijnej literatury. Nawet te o nazwie... katolicka. Cóż, uważają ich właściciele, że potrzeba duchowa w tych trudnych czasach nie jest walorem powszechności.

*Na rozstajach na bezdrożach  
tęsknią nasze wielkie słowa  
rozglądając się za ludźmi*

Stępień pisze wiersze od osiemnastego roku życia. Z zawodu inżynier górnik. Debiutował późno, bo dopiero w 2001 roku zbiorem wierszy *154 wiersze*. Jest autorem esejów literackich zgromadzonych w trzech edycjach książkowych. Nie szukając tych wierszy z dwóch ostatnio wydanych tomików, zagłębimy nie do księgarni, ale do internetu na stronę: <http://www.mjstepien.republika.pl>

Z dużą satysfakcją przeczytałem oba tomiki. To duża zapis rozmyślań o ludzkich doświadczeniach o Wierze, Miłości, Bólu. To piękne, mądre wiersze o potrzebie zdobywania się na akceptację życia. To wędrówka poety na górę, Odwieczną Górę, drogą ku pełni człowieczeństwa.

## Kazimierz Iwosse



## Ryszard Wasilewski

\* \* \*

już podczas stadnej wędrówki  
zaczynam szukać  
głębokiej zatoki

dla ulotnych złudzeń

i kawałka łądu

tylko tyle  
aby wystarczyło na dwie stopy  
na pewne oparcie  
dla ciągłej nadziei  
i wiary w ciebie  
człowieku

bez oczekiwania na zbawcę

\* \* \*

nie chcesz się w locie odnajdywać  
wciąż stroszysz pióra  
zaostrzasz szpony  
rozwierasz ostry dziób  
wszystko do czasu  
aż ktoś z góry  
nasra ci na głowę

\* \* \*

kiedyś  
powiedział mi ktoś młody  
po co ci serce  
teraz trzeba mieć  
twardą dupę  
a nadal tkwię  
w tym swoim rezerwacie  
gdzie ból ukłucia  
zawsze rozmija się z kopniakiem

\* \* \*

na ulicach mojego miasta  
jest gwar oczekiwania  
i pędzą gdzieś obcy  
choć przecież znajomi  
tylko czasem  
bezzębny staruszek  
wychodzi z zaułków  
rozdręganych miast  
by podać nam jabłko  
z drzewa wiadomości



## Kozetka (12)



## Sen nocy letniej

„Sen jest balsamem dla duszy”.

Wiliam Szekspir

## Joanna Friedrich

Drzemki są bardzo zdrowe, zdrowsze od psychoterapii, którą też uprawia się na kozetce.

Sen to najlepszy kosmetyk.

Ostatnio była to u mnie podróż przez nieistniejącą w rzeczywistości mapę. Sen sam namalował nowe lądy, ogromne odległości, oceany. Wielkie obietnice. Raj tuż za rogiem.

Widziałam tę mapę dokładnie, planując „jutrzejszą” trasę, na noc zatrzymując się, tymczasem, w ekskluzywnym hotelu.

Był on jednocześnie salonem sprzedaży wszystkich znajdujących się w nim rzeczy. Futery i odzież w szafach, wyposażenia wnętrz, drobiazgów, pościeli, luster, nawet perfum.

Perfumy nosiły imiona moich przyjaciółek... i już wiedziałam, że to sen. Wszystko było przepiękne i pełne obietnic, jak to w podróży. Hotel przyszłości. Właściwie każdy dom mody, to taki hotel.

Podróż we śnie to arcsurrealistyczna przeprawa. Nie istnieje czas, ani pieniąż. Nikt nie ma władzy. Smaki i zapachy pełne są ukrytych znaczeń.

Rzeczywistość zdaje się puszczać perskie oko.

Ta poranna również.

Zdaje się, że czas na podróż.

Często się śmieję. Kiedyś tak nie było, byłam bardziej melancholijna żyjąc beztro-

skie życie. Człowiek to złożone stworzenie... Ostatnie wiadomości docierają do mnie z trudem. Upajam się powtórką filmu „Królowej Margot”, kostiumami i przemyśleniami na temat Nocy św. Bartłomieja, jednej z bardziej krwawych kart w historii Francji, by rano dowiedzieć się, o szalonym zamachowcu z Nicei. Następnego dnia – zamach stanu w Istambule.

Czas pożegnać się z nie wiadomo skąd pochodzącym przeświadczeniem, że będę żyła w spokojnych czasach.

W całej historii ludzkości było tylko 300 lat pokoju, a po drugiej wojnie światowej, tylko – 26 dni.

Ludzie zabierają głos. Wieczny „streaming”. Jedni drugim zakazując prawa głosu, nie wiedząc, dlaczego. Medialny gwar miesza się w mojej głowie z plażowym zgielkiem. Jak już wspominałam, często mieszkam blisko plaży, piasek wdziera się wtedy do domu, usypując pokątnie złote stożki. To samo dzieje się ze słowami, gromadzą się w mozaiki i nie chcą zniknąć, dopóki ich nie zapiszę.

I pomyśleć, że jak byłam mała, jedynym moim zmartwieniem było to, żeby nie było nudno. Urodziłam się w czasie kryzysu, a kraj, w którym przyszłam na świat, zaraz potem przeszedł transformację. Powinnam wiedzieć i pamiętać o tym, że nic nie jest dane raz na zawsze. Niestety ciągle o tym zapominam. Zabijam nudę, by zaraz potem za nią tęsknić, przełamuję rutynę, z tym samym skutkiem. Mylę pokój ze spokojem. Nie ja jedna.

Studiowałam politologię, zaciekawiona mechanizmami władzy, związkiem polityki z religią. Historia, chociaż powinna być najlepszą nauczycielką, niczego nie uczy. Porywani jesteśmy przez prądy natury ludzkiej i wyrzucani na brzeg szalonego przeznaczenia.



Piękno nas wyzwoli, pisali filozofowie, prawda nas wyleczy, prawili poeci.

Jeśli moda jest obrazem ludzkich tęsknot, to tęsknimy za bajkowością, bujną historycznością, kwiecistą formą i Szekspirowską znajomością natury ludzkiej – od podszewki. Takie wrażenie robi na mnie kolekcja haute couture jesień 2016 Valentino, inspirowana 400-leciem śmierci Williama Szekspira. Tak, w moich wyborach modowych kolekcji, rzadko rezygnuję z Włoch, chociaż mile wspominam wizytę z rodzinnej miejscowości Szekspira na Wy-

spach...

Być może do Włoch zblizę się jeszcze bardziej, jadąc tam na wakacje? Na razie znalazłam wymarzony Beach House, a właściwie villę marzeń w Toskanii: Villę Godilondę a Castiglioncello.

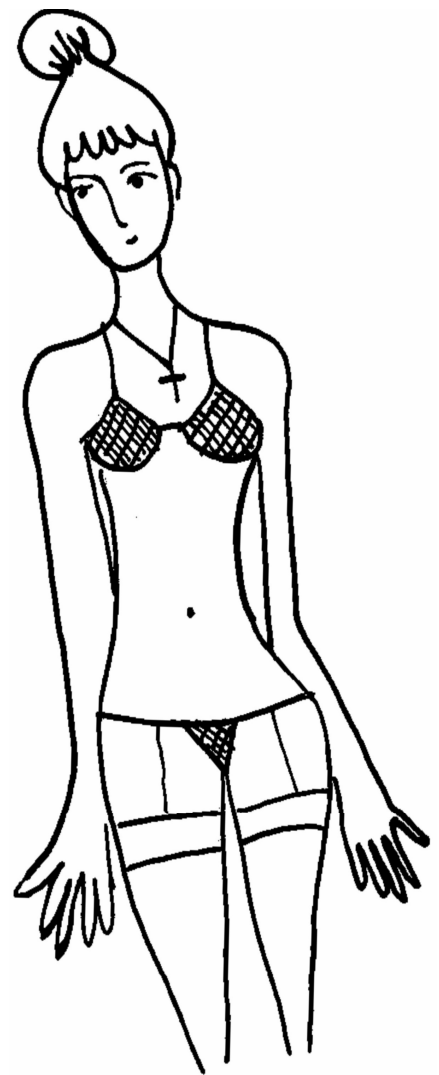
Jak wszystko, czego się tknę, ma ona związek z modą – należała do Bulgarięgo.

Życ na kłifie, na brzegu rzeczywistości, w garderobie mając kreacje od Valentino, które dla zwykłego śmiertelnika – mogłyby uchodzić za kostiumy. Czemu nie?

Może zbliża się czas kostiumów? Kto wie, co będziemy nosić w przyszłości?

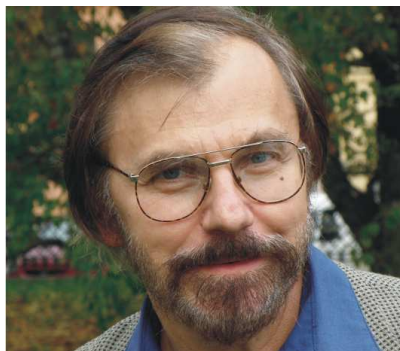
cdn.

PS. Dodałam też polaroidowe zdjęcia z podróży: kampania Valentino, pt. Wonderland: Mediolan, Rzym, Paryż, Londyn, Nowy Jork, Hong Kong, Szanghaj – Najstarsze recepty, oprócz piękna i prawdy, na wszelkie weltszmerce zalecają przebywanie w ciągłym ruchu; nie zamierzam się zatrzymać...



Rys. Barbara Medajska

## Listy do Pani A. (97)



## Plener z duszą

Droga Pani!

Pojechałem na plener literacki do Staszowa, dokąd zaprosił mnie Staszek Nyczaj. Miałem być też jedną z „gwiazd” tego literackiego zgrupowania, i promować w zastępstwie autorki książki, Anny Marii Musz „Poeta i przestrzeń”. Poeta – to ja (co widać wyraźnie na okładkowym zdjęciu), a przestrzeń jest moja poezja, która ową przestrzeń poszerza, jak w tytule jednego z moich tomów. Książka świetnie napisana. Mówiąc o niej nie miałem tremy z dwóch powodów: nie ja tę – zresztą świetną – książkę napisałem, a po drugie jej temat a także... bohater... jest mi jakoś znany. W każdym razie lepiej, niż inni.

Wyjechałem około dziewiątej rano, do Staszowa dotarłem dopiero w okolicach siedemnastej. Zmęczone się trochę, bo cała podróż przebiegała w upale. Wiele było utrudnień, robót drogowych i związanych z tym „wahadełek”. Poza tym bardzo złe oznakowania, jakby nie można było postawić więcej znaków. Kilka razy musiałem zawracać, bo znaki były postawione bardzo nieprecyzyjnie. Poza tym zaczęły się wąskie drogi, a jeśli się zdarzył jakiś – jak to nazywam – szmelc wolno jadący, to wyprzedzanie było niemożliwością. Nawet w samym Staszowie pobłądziłem, choć przecież bardzo dobrze znam to miasteczko. Ale dojechałem, choć spóźniłem się na obiad.

To nawet dobrze, bo po tak długim siedzeniu bez przerwy za kierownicą, zupełnie mi się nie chciało jeść. Zaparkowałem, i od razu poszedłem do Staszowskiego Centrum Kultury na spotkanie z Utą Przyboś. Odbywało się ono w artystycznej piwnicy. Po upale można się było ochłodzić, bo piwnica – jak przystało na taki artystyczny loch, była bardzo zimna. Nawet przez chwilę obawiałem się, że mogę to odchorować, ale nic mi nie było. Złego diabla nie biorą. Dlatego też nie dączę do poprawy...

Uta nie tylko tym się różni od innych poetess, że jest znakomitą poetką, ale jednocześnie bardzo skromną. Przeczytała niewiele utworów, nie chcąc – jak mówiła – zanudzać zebranych, nie dawała się namówić na większą porcję. Demonstrowała również swoje obrazy, bardzo pomysłowe i ciekawe.

Potem impreza w Rytwianach. Występy zespołów dziecięcych, a potem koncert piosenek skomponowanych do słów Benedykta Kozieła. Zrobiło się bardzo nastrojowo, zapadł zmrok, świecił tylko reflektor, a po wodzie płynęły wianki, jako że był to 24 czerwca. Grał na fortepianie Kamil Kondek, a śpiewała młoda wokalistka

Wiktorija Pikus.

Zwykle obawiam się, z kim będę mieszkał w pokoju. Tym razem niepotrzebnie, bo zostałem zakwaterowany z Janem Lechickim, poetą i lekarzem. Bardzo dobrze się nam mieszało i gadało. A kiedy zobaczyłem, że Jan mierzy sobie ciśnienie, poprosiłem by zmierzył i mnie. Ostatnio mierzyłem kilka lat temu, i byłem ciekaw, jakie mam teraz. Okazało się, że niskie – 111/71. Czyli bardzo dobre, jak ocenił to po lekarsku poeta Jan.

Chyba nawet nie podniosła tego ciśnienia dość liczna gromada autorów. A byli tam, zresztą w trochę różnym czasie m.in. Elżbieta Musiał, Anna Błachucka, Joanna Rzodkiewicz, Kazimiera Szczykutowicz, Beata Kępińska, Emilia Tesz, wspomniana Uta Przyboś, Irena Paździerz, Włodzimierz Klaczyński, Benedykt Kozieł, Maria Włodno, Jan Lechicki, Henryk Morawski, Monika Mazur. I oczywiście – dusza pleneru – Stanisław Nyczaj.

Włodzimierz Klaczyński, znakomity prozaik, czytał fragmenty swojej powieści podczas autorskiego spotkania. Dał mi inną książkę, swoisty dziennik pt. „I kot ma duszę”. To wstrząsający zapis, dzień po dniu, pracy lekarza weterynarii. Książka bardzo smutna, mówiąca o nieszczęściu, nie tylko zresztą zwierząt, ale i ludzi. Przedstawiająca znieczulicę, okrucieństwo wobec zwierząt na wsi, gdzie czworonogi traktowane są jak sprzęty. Ktoś powiedział kiedyś Klaczyńskiemu, że jego książki są antychłopskie. Pisarz odparł: „nie antychłopskie, tylko antychamskie”. Czytam „I kot ma duszę”, i myślę sobie, że niektórych „gospodarzy” i właścicieli psów i kotów należałoby uśpić, zamiast ich podopiecznych. Dowiadujemy się też o zastraszającym nieuctwie i bezdennej głupocie niektórych weterynarzy nie mających pojęcia o podstawach leczenia.

Prowadziłem spotkanie z Moniką Mazur, bardzo ciekawą poetką, piszącą oryginalne wiersze. Twierdzą niektórzy, że jest to poezja abstrakcyjna. Nie do końca się z tym zgadzam. To tylko poetka rekwizytornia Moniki Mazur wydawać się może abstrakcyjna. Powie ktoś: poetka stosuje język ezopowy. Też nie do końca. To wiersze odwołujące się przede wszystkim do wyobraźni i wrażliwości czytelnika. Najważniejsza jest tutaj niedosłowność, wieloznaczność utworów, a zarazem ich kompozycyjna logika, która – dając rozmaite możliwości interpretacyjne – prowadzi czytelnika wprost do przesłania, i nie pozwala mu zgubić się w gąszczu słów, uduchowionych metafor, pseudooryginalności.

Powiedziałem to wszystko, ludzie słuchali, może ktoś sobie wzięł jakieś słowa do serca. Mówiąc o poezji Moniki Mazur, jednocześnie w jakiś sposób wyraziłem swoje credo poetyckie. Lubię taką inspirującą poezję, o którą można zinterpretować. Aby było wakacyjnie i rzeczywiście plenerowo, zabrano nas do pobliskiego Golejowa. Niektórzy się kąpali, spacerowali, a my z Benkiem Kozielem siedzieliśmy sobie nad wodą, popijali piwo i gadali – o literaturze, poezji, obecnej sytuacji, o twórczości własnej. Kozieł to bardzo dobry i oryginalny poeta, oszczędnie komponuje wiersze, nie goni za oryginalnością. Nie musi, on jest oryginalny. Niestety – moim zdaniem, trochę niedoceniony. Ale winna temu jest poniekąd jego skromność.

Potem pojechaliśmy do Sielca na tzw. „Szklarki” czyli doroczny festyn w hucie szkła Tadeusza Wrześniaka. Tymczasem zerwała się wichura i burza. Parasole i zadaszenia stoisk zaczęły fruwać, a my schroniliśmy się pod da-

chem jednego z pawilonów. Nie trwało to długo. Nawałnica uspokoiła się, wyszło słońce, więc usiedliśmy przy jednym ze stolików – Emilia Tesz, satyryk Marek Rak, Irena Nyczaj z synem Pawłem, Benek Kozieł i ja. Ponieważ Benedykta bardzo dobrze znają, jego znajomy zajmujący się grilem i napojami przyniósł nam coś do jedzenia, a potem obficie raczył nas nalewkami. Po pewnym czasie przysiadł się do nas, mówił o swojej rodzinie, w pewnym momencie powiedział: „a moja mała córeczka ma już trzy miesiączki”. Wtedy, rozochocony nalewką palnąłem w swoim stylu: „a Emilia Tesz już ani jednej!” Oczywiście Emilia nie obraziła się, roześmiała wraz ze wszystkimi. Ona ma duże poczucie humoru i dystans do rzeczywistości, jaki powinni mieć dobrzy literaci.

Dotarłem od niej bardzo ciekawą książkę jej autorstwa „Opowieści z kufra wyjęte”. Jest to rzecz bardzo osobista, traktująca o rodzinie, wydarzeniach dotyczących osób jej najbliższych. Jest tam również pokazane tło społeczno-polityczne. Dowiadujemy się m.in. o pochodzeniu nazwiska, poznajemy najrozmaitsze perypetie. Rzecz bardzo ciekawie napisana. Ciekawa jest też książka Henryka Morawskiego, poety, prozaika, regionalisty. To zbiór opowiadań, felietonów, szkiców.

Zabrano nas też do Połańca, gdzie w miejscowej „Biedronce” mieliśmy na specjalnie ustawionych stołach prezentować (a najlepiej sprzedawać) swoje książki. Zainteresowanie było bardzo mierne, nie wracaliśmy z pełnymi trosami. W końcu literatura nie od dziś przegrywa z żywnością i ciuchami.

Zrekompensowało to nam zaraz potem spotkanie w Środowskim Domu Pomocy. Czytaliśmy wiersze, rozmawialiśmy z dosyć licznie zebraną publicznością. Tu przynajmniej mieliśmy jakąś satysfakcję, że nasze słowa były wysłuchane.

A ja miałem w Staszowie, w zastępstwie Anny Marii Musz, autorki książki o moim życiu i twórczości inną satysfakcję, kiedy prezentowałem „siebie”, a potem czytałem swoje wiersze – dawniejsze i najnowsze, jeszcze niepublikowane. Staszek Nyczaj powiedział, że wypadło to bardzo dobrze. Ucieszyłem się, bo zawsze chcę, by spotkanie było jak najlepsze.

Ostatniego dnia wieczorem był grill. Posiedzieliśmy pożełgalnie w bardzo miłej atmosferze, choć było nam wszystkim przykro, że to już za chwilę musimy się rozstawać. Następnego dnia przed południem pojechałem do domu. Było już nieco chłodniej, a droga wydała mi się dużo lepsza. To zawsze tak jest, że gdy jedzie się samochodem albo pociągiem czy autobusem, a nawet idzie pieszo, droga „tam” wydaje się dłuższa i bardziej uciążliwa niż powrotna. Czy Pani również odnosi takie wrażenie?

Zasypałem Panią opisami staszowskiej imprezy. Chciałem, by ta literacka atmosfera udzieliła się i Pani. Tu była tylko poezja, przyroda, piękne widoki nieskażone odchodami polityki. Piękny, spokojny, krzepiący tydzień!

Takich tygodni, zwłaszcza tego lata, życzę Pani jak najserdeczniej –

Stefan Jurkowski



## Rozmyślania



## Translacja

*Wakacje to naprawdę wspaniały okres w roku. Można odpocząć, wystawić białe ciało na rakotwórcze działanie promieni słonecznych, wyjechać do ciepłych krajów, nadrobić zaległości w czytaniu, obejrzeć zaległe filmy... Tak też postanowiłem zrobić w tym roku, tzn. zrealizować te dwa ostatnie elementy powyższej wylizanki. Ponieważ nadmiar prac, którymi zostałem ostatnio obciążony nie pozwalał mi zagłębiać się w literaturze lżejszego formatu, postanowiłem przeczytać kilka takich książek, które przygotowałem sobie wcześniej. Filmów fabularnych też jakoś nie mam czasu oglądać, więc zrobiłem sobie listę i dalej za piloty od telewizora, magnetowidu i odtwarzacza CD.*

## Andrzej Dębowski

Oglądając kolejne filmy zaobserwowałem, że ten sam film, w różnych stacjach telewizyjnych jest inaczej tłumaczony. Świetny, historyczny obraz w reżyserii Rolanda Joffe *Misja*, inaczej ogląda się np. w TVN-ie, a inaczej w HBO.

Poziom tłumaczeń w Polsce budzi przerażenie – powiedział w jednej z gazet Robert Stiller, znany tłumacz i publicysta i ma rację. Najwięcej tych absurdalnych przekładów pochodzi z telewizji. Również ostatnio oglądałem starą, ale bardzo dobrą produkcję amerykańską w reżyserii i z główną rolą Clinta Eastwooda – *Wzgórze złamanych serc*. A dokładniej dwie jej wersje: pierwszą na kanale filmowym HBO, a drugą w TVN. Wersja pierwsza doskonale oddawała charak-

ter tego męskiego filmu. Dobre, mocne dialogi, tłumaczenia bardzo dosłowne, często przekraczające dobry obyczaj, ale prawdziwe, nieudawane. Natomiast wersja druga, ta w TVN-ie, to po prostu coś żenującego. Jeśli ktoś boi się mocnych słów, to niech zrezygnuje z tłumaczenia czegoś, co wypacza cały obraz. TVN-owska wersja filmu, to jakiś koszmar, poczwara. Kto tłumaczył ten film? Przecież nawet średnio znający język angielski uczeń dostrzegł skandaliczne tłumaczenie filmu.

Osoby, które próbują uzurpować sobie prawo do miana tłumacza nie dość, że nie znają zasad języka polskiego, to jeszcze nie starają się zrozumieć kontekstu tłumaczonego dzieła.

W Polsce pojawia się coraz więcej produktów anglojęzycznej kultury (książek, filmów, kaset wideo), ale trudniej znaleźć dobre tłumaczenie. Popyt na przekłady z angielskiego znacznie przewyższył podaż. Tłumaczeniami zaczynają zajmować się więc krewni i znajomi wydawców, dystrybutorów, szefów stacji telewizyjnych. Niestety w Polsce nie wykształciła się klasa tłumaczy, którzy żyją tylko i wyłącznie z przekładów najwyższej próby. Tłumaczenie jest prawie zawsze działalnością dodatkową. Polski tłumacz to w głównej mierze wykładowca uniwersytecki, redaktor, student, a dopiero w następnej kolejności autor przekładu. Problemem nie jest wielość zainteresowań – w przeszłości nawet najwięksi polscy tłumacze imali się najróżniejszych zajęć – lecz ilość czasu poświęcanego pracy translacyjnej. Obowiązuje zasada: *Osiem książek w siedem dni*. Niewielka grupa dobrych tłumaczy zajmuje się przede wszystkim tłumaczeniem książek ambitnych, ale im bliżej tłumaczeń wytworów kultury popularnej, tym gorzej.

Przekłady fantastyki i horroru dawno zmieniły się w horror i fantazję przekładów. Niestety większość tłumaczy to miernoty, bądź zupełnie przypadkowi „przekładacze”, którzy chcą zrobić szybkie pieniądze. Bo, niestety, sama znajomość języka przy tłumaczeniach literatury pięknej nie wystarcza. Ktoś mógłby powiedzieć, że literatura niskich lotów to margines literatury, więc nikogo nie musi boleć głowa o poziom tych na poły grafomańskich tekstów. Jest akurat odwrotnie. Literatura popularna – czy nam się to podoba, czy nie – jest po telewizji i prasie najważniejszym wzorcem językowym wśród szerokich rzesz czytelników. Jeśli będą się oni wychowywać na popłuczynach po polszczyźnie, w przyszłości stopień zachwaszczenia języka zwiększy się jeszcze bardziej.

Pseudotłumacze stanowią jedynie pierwsze ogniwo łańcucha ludzi złej translacyjnej woli. Pierwsze nie oznacza ani jedyne, ani ostatnie. Za fatalny poziom tłumaczeń ponoszą winę w równym stopniu redaktorzy, jak i wydawcy. Tłumaczenie nigdy nie powstaje w próżni, jest przez kogoś zamawiane, oceniane, zatwierdzane. To właśnie redaktorzy i wy-

dawcy zlecają, a później zatwierdzają tłumaczenia Osoby, które biorą pieniądze za sprawdzanie tekstu, nie zawsze przykładają się do pracy. W niektórych wydawnictwach nie ma redaktorów, lecz menedżerowie projektu. Do redagowania zatrudnia się osoby z zewnątrz, często nie sprawdzonych debiutantów. Nie ma nikogo, kto spiałby pracę tłumacza, redaktora, korektora. Menedżer ma przecież tak dużo na głowie: znaleźć ludzi, wyegzekwować „produkt”, oddać go do składu, zamówić pstrokatą, najlepiej kolorową okładkę.

Zastanawiające jest to, że niektóre wydawnictwa, wydające po kilkaset tłumaczeń rocznie, korzystają z usług kilku – lepszych i gorszych – tłumaczy przy przekładzie jednej książki *Dzieje* się tak zawsze, kiedy trzeba szybko wydać bestseller, na podstawie którego powstał film, wchodzący właśnie na polskie ekrany. Nie ma więc czasu na poświęcenie większej uwagi zawartości merytorycznej „produktu”. Czy istnieje jakikolwiek sposób, by postawić tamę powodzi mizernych tłumaczeń? Są różne pomysły, ale większość z nich, to po prostu pobożne życzenia.

Oczywiście oprócz kija istnieje także marchewka. W Polsce mamy aż cztery doroczne nagrody za przekłady. Być może media powinny promować najlepsze przekłady i wskazywać na wybitnych tłumaczy. Tłumaczenie to bardzo odpowiedzialne zajęcie i wreszcie powinno być doceniane. Ale dopóki będzie liczyła się tylko wysokość sprzedanego nakładu, dopóty nie można liczyć na doskonałe tłumaczenia dawnych mistrzów, jak choćby Tadeusza Żeleńskiego „Boya” czy Macieja Słomczyńskiego.



**Józef Baran**

## Spadając, patrząc w gwiazdy (5)

(fragmenty)



### Plus Minus – 1500!

Pogawędka podczas kolacji w „CK Dezerterach” z poetą indyjskim Aśokiem Wadźpeji (w spotkaniu uczestniczyła też tłumaczka poezji Aśoka Wadźpeji, Renata Czekalska, i moja córka Aśka).

Ja: – Ostatnio spotkaliśmy się osiem lat temu, też na kolacji. Ukazał się wtedy wyborek Twoich wierszy w tłumaczeniu pani Renaty Czekalskiej. Ponownie jesteś w Polsce i znów ukazuje się wybór, tym razem obszerniejszy, Twojej liryki. Wracasz z tłumaczką ze spotkania autorskiego z młodzieżą w Sandomierzu. Czy były jakieś ciekawe pytania?

Aśok Wadźpeji: – Jedno z ciekawszych: jak rozpoznaje się, czy wiersz jest dobry, czy zły?

Ja: – I co na to odpowiedziałeś?

Aśok Wadźpeji: – Że z poezją jest jak z miłością. Nie wiesz, dlaczego ci się ten czy tamten wiersz podoba, tak jak nie wiesz, dlaczego podoba ci się ta a nie inna kobieta...

Ja: – W 2001 roku brałem udział w XXI Kongresie Poetów Świata w Sydney. Kiedy przyjrzałem się niektórym, doszedłem do wniosku, że są wśród nich ludzie finansowo dobrze sytuowani. Ich pisanie bywa komfortowym dodatkiem do życia. Pewna poetka hinduska opowiadała o wielomiesięcznych podróżach dookoła świata, odbywanych przez nią co roku. Obok nich istnieją oczywiście poeci biedni, ledwie wiążący koniec z końcem, jak to bywa niejednokrotnie u nas w Polsce.

Aśok Wadźpeji: – Gdyby jakiś bogacz pisał poezję, byłoby to podejrzane. Bogaci są zajęci robieniem innych rzeczy, na przykład pieniędzy.

Różnice materialne w Indiach między ludźmi są ogromne. Bogatych od biednych dzieli przepaść. W moim kraju istnieje jednak

również dziwoląg zwany klasą średnią, zapożyczony zresztą od Anglików. Myślę tu przede wszystkim o wykształconej inteligencji. Niekoniecznie bogatej; to z niej wywodzą się pisarze, poeci.

Renata Czekalska: – Aśok bywał urzędnikiem państwowym różnych szczebli. Miał szczęście do tworzenia instytucji, towarzystw kulturalnych... Tak że nie omijały go tytuły, odpowiedzialność i zarazem honor bycia w latach 1997-2001 rektorem Międzynarodowego Uniwersytetu Hindi im. Mahatmy Gandhiego. Od kwietnia 2008 roku jest też prezesem Narodowego Centrum Sztuki (Lalit Kala Akademi). Niemniej zawsze musiał pracować. Ma zresztą, podobnie jak i Pan, korzenie chłopskie. Jego dziadek był rolnikiem.

Ja: – O! A ile miał pola?

Aśok Wadźpeji: – Około 20 hektarów. Trzeba jednak pamiętać, że w Indiach przy rozdzielaniu spadku bierze się pod uwagę synów pozostających na gospodarstwie, a nie córki, które odchodzą do mężów. Synowie uprawiają ziemię wspólnie z żonami. Więc 20 hektarów było wspólne, należało do dziadka i jego trzech braci. Mój ojciec skończył studia ekonomiczne i został urzędnikiem uniwersyteckim.

Urodziłem się w malutkiej wsi Durg, potem przenieśliśmy się do Sagar, bardzo prowincjonalnego miasta w środkowych Indiach, ale posiadającego uniwersytet. Pamiętam, że w domu dzieciństwa nie miałem prądu. Dopiero gdzieś koło 1955 roku, gdy byłem już czternastolatkiem, pojawiła się elektryczność.

Ja: – Też pamiętałem z wczesnego dzieciństwa lampę naftową. A propos, ciekaw jestem, kiedy zawiątał do was telewizor?

Aśok Wadźpeji: – Telewizor? Gdzieś koło roku 1974...

Ja: – Dość późno, a mnie z tego, co opowiadałeś przy naszym pierwszym spotkaniu, wydawało się, że Twój dom był inteligentki.

Aśok Wadźpeji: – Tylko w pewnym sensie, gdy dotyczy to ojca. Mama nie kończyła żadnych studiów i też nigdy, jak i Twoi rodzice, nie rozumiała potrzeby tworzenia poezji. Moja matka była bardzo religijną wyznawczynią hinduizmu. Nie modliła się do figurki czy obrazka, ale codziennie czytała i można rzec, modliła się do „Oceanu opowieści o życiu Boga Ramy”. W pewnym sensie modliła się więc do poezji. A kiedy miałem 9 czy 10 lat, to dziadek ze strony matki miał ze mną dwukrotnie wielogodzinne posiedzenie, czytając mi i komentując teksty „Ramčaritmanas” znane u was jako „Ramajana”.

Ja: – To zdaje się nie pomogło, bo manifestujesz się jako człowiek sceptycznie odnoszący się do religii.

Aśok Wadźpeji: – Tak by można określić, choć uzupełniłbym to uwagą, że przenieśliśmy swoją wiarę z Ramy na poezję.

Ja: – Dwa lata temu byłem w Singapurze w świątyni hinduistycznej. Uderzyła mnie równoczesność dziania się różnych spraw: jedni jedli, drudzy leżeli plackiem przed figurami

bóstw, jeszcze inni śpiewali; ktoś pił herbatę, ktoś rozmawiał przez telefon komórkowy, a obok modlący się zapadali w trans, brali udział w procesji, namaszczeni się olejkami. To był dla mnie zadziwiający widok. Ta dowolność, swoboda, różnorodność zachowań...

Aśok Wadźpeji: – Tak. W Indiach chodzenie do świątyni nie jest obowiązkowe. Są oczywiście dni przeznaczone bogom, ale nie musi się brać udziału w obrzędku, nie musi się nawet wierzyć, a pomimo to pozostaje się nadal wyznawcą hinduizmu. To bardzo pluralistyczna i tolerancyjna, choć licząca parę tysięcy lat religia. Relacje z Bogiem wydają się tu bardziej rozrywkowe niż u was. Zresztą dziś mówi się nawet, że to nie religia, a sposób na życie. W hinduizmie mamy nie jedną, a cztery biblię. Jak się wierzy w trójcę, to jest trzech bogów: Wisznu, Brahma, Sziwa. Ale jak się wierzy szerzej, to jest 333 333 333 bogów.

Ja: – 333 miliony? To chyba metafora?

Aśok Wadźpeji: – Niektórzy żartują, że w dawnych Indiach, gdy liczba mieszkańców była znacznie mniejsza, populacja boska przewyższała populację ludzką!

Ja: – Czy w tym chaosie wielobóstwa i pluralizmu istnieje jakiś porządek?

Aśok Wadźpeji: – Tak. W tym szaleństwie – cytując Szekspira – jest metoda. W „Rigwedzie” znajduje się hymn o stworzeniu świata, gdzie pojawia się pytanie: co było wcześniej przed nicością, przed chaosem, przed ciemnością? Bo ostatecznie nawet Ten Kto Stworzył nie wie, co było wcześniej. Zresztą Ten Kto Stworzył jest wprowadzony warunkowo, bo mówi się *być może stworzył*. Czyli od początku cechował tę religię sceptycyzm. Istnieje sześć systemów filozoficznych, z których co najmniej cztery nie mają nic wspólnego z rozważaniami na temat Boga. Są to rozważania na temat sensu życia i związków przyczynowo-skutkowych w świecie materialnym.

...Myślę, że zasadnicza różnica między naszym hinduizmem a waszym chrześcijaństwem polega na tym, że w hinduizmie nie ma założyciela religii. Również koncepcja Boga nie jest koncepcją Boga niezależnego, osobowego. W chrześcijaństwie człowiek rodzi się ze świadomością winy i grzechu pierworodnego. U nas rodzi się z poczuciem zabawy. Brahma nudził się w samotności, więc podzielił się na pół: stąd energia żeńska i męska. Z połączenia tych dwóch powstał świat. W hinduizmie zawsze było wielkie poczucie radości i celebracji świata, życia. Hinduizm to celebrowanie życia, nie przykładanie tu wagi do instytucji, do Kościoła.

Ja: – Co by o tym nie mówić, jedno jest pewne. Sztuka bez poczucia sacrum, Absolutu, Tajemnicy rezygnuje jak gdyby z Wielkości. Dotyczy to szczególnie sztuki i literatury naszych czasów, kiedy to zmysł metafizyczny u artystów i odbiorców został stępiony, a sztuka ogolona z wymiaru transcendentnego.



# W pogoni za smakiem życia

Ta warszawska poetka – Ewa Maria Zelenay – jest piosenkarką, dziennikarką, autorką książek dla dzieci. Jej twórczość w jakiś sposób jest również związana z długoletnią pracą stewardesy, który to zawód wykonywała z powodzeniem, a który pozwala jej do dzisiaj dyskontować artystycznie owo doświadczenie zawodowe związane z lataniem w przestworzach. Jest to twórczość zaliczana do kierunku poezji określonej mianem impulsjonizmu – pewnej formy impresjonizmu, czyli umiejętności tworzeniem utworów artystycznych, podyktowanych impulsami wynikającym z głębokich przeżyć emocjonalnych zjawisk, które są dla twórcy szczególnie ważne. Tomik pt. „Alla prima” można zaliczyć do tego kierunku tworzenia utworów artystycznych. Sama „alla prima” – to technika malarska polegająca na kładzeniu farb bezpośrednio na zaprawie i taki tytuł nosi właśnie tomik wierszy warszawskiej autorki. Omawiany tomik otwiera wiersz pt. „chwila”, który ukazuje główne źródło inspiracji warszawskiej poetki, gdzie czytamy: *ciągle uczyć się chwili / jestem tylko chwilą / to jedyne co mam // tu i teraz // kiedyś – umarło / jutro niepewne / wczoraj – niewykorzystane // jedyne tu i teraz // szczęście obecności / radość jedności bycia / i współbywania // ...jestem.*

To życie chwilą, sklepanie w całość owych „impresji-chwil” wydaje się stanowić tę technikę impulsywną poezjomania warszawskiej autorki, analogiczną do techniki malarskiej – „alla prima”.

Nie trudno zauważyć, że te detale życiem wzięte z życia składające się na te chwile i jakby podpowiadają poetce kolejne wersy wierszy ujmujące segmenty jej życia jakby dokumentowane kamerą filmową: klatka po klatce. Kolejne kadry wyobraźni pisarki przedstawiają Palestynę podminowaną wojenną agresją ludzi, których poetka chce wręcz obedrzeć ze skór, by swobodniej kroczyć po tym świecie pomiędzy ludźmi karmiącymi się duchem zaciekłości. Przeraza ją nasz świat ujmowany w porządku cyfrowym – owym „cyfrowym milczeniem”, które wymaga od niej szacunku i pokory wobec tej liczbowej wielości, za którą właściwie doświadcza się pustki jednostkowego istnienia – tu ilość nie przechodzi w jakąś nową, wartościową jakość. Tak doświadcza poetka owej bytowej podstawy naszego świata – owego „Nic”, które jak pisał kiedyś Martin Heidegger o tego typu doświadczeniu egzystencjalnym, staje się również doświadczeniem osobistym podstawy istnienia Zelenay. Jako była stewardesa – autorka dobrze zna doświadczenie oglądu naszej

planety z tej podniebnej, może niebiańskiej, perspektywy, nastrojającej ją wręcz metafizycznie, dając możliwość wsłuchiwania się w brzmienie „kosmicznego porządku czasu”, krzyczącego „językiem ciszy” – jej „gromobiciem”, wzmacnianym falami rytmicznych silników samolotów odrzutowych. Uda jej się nawet spotkać w tych przestworzach samego „Małego księcia”, który przemienia ją w ową „Różę” na planecie. Martwi się również o los mitycznego Ikara możliwości wniebowstąpienia, bo samoloty jakby eliminują go z naszej wyobraźni. Sądzi również, że tą podniebną drogą z „podręcznym bagażem” odleci kiedyś do wieczności, bo posiada już te „kartę pokładową” do odlotu z porządku doczesnego istnienia. Jeden z wierszy poświęca przyjaciółce – Justynie Moniuszko – która zginęła w tragicznym locie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem.

Kolejne wiersze Zelenay to emocjonalnie rozbudowane liryki, ale i panegiryki, opisujące doświadczenie własnej, ciężkiej choroby, cierpienia i bezpardonowej walki o każdy kolejny dzień życia, którego doświadcza również jako lustra „potłuczonego na kawałki”. Kolejne pobyty w szpitalu postrzega jako doświadczenia agresji medycznej, zabijającej inne życie (wirusów) dla jej osobistego, by otrzymać w darze „gorzką pigułkę kolejnego dnia życia”. Poetka zgadza się ze swym lekarzem, jej realnym „aniołem stróżem”, że „trzeba przejść przez piekło” i jest to jedyna droga do Nieba. Postrzega również los człowieka jako element „gry planszowej w życie”, w czasie której jako potrzeba chwili istnienia pojawiają się te „samopiszzące się wiersze”, zmuszające do codziennego „obrachunku sumienia”. Powraca do obrazów z czasów dzieciństwa, wspomina ojca i matkę, dziadków, ponownie wstępuje do swej „rzeki dzieciństwa” – Świdra, nad którym dorastała i budowała swą wrażliwość estetyczną na świat i moralną na innych ludzi. Mając doświadczenie utraty drogich jej osób bardzo boi się tego zjawiska, któremu na imię „niepowroty”. Ciągle ekscytują ją relacje kobiety i mężczyzny nasycone próbami walki o pełne spełnianie się w miłości i urzeczywistnienie jej wyidealizowanego obrazu. W ostatnich wierszach tego tomiku poetka składa jakby cześć wartości życia jako takiego – przestrzeni nieskończonych możliwości wyborów siebie i świata – skarżąc się na bezduszny los, który każe go na wieczność opuścić. W wierszu pt. „Daj mi życie...” Zelenay błaga o kolejne jego chwile, pisząc: *Daj mi życie jeszcze jedną główną rolę / tę jedyną, najwspanialszą, największą. / Niech mi śpiewać i tańczyć pozwolą / niech przywrócą miłość... tę pierwszą / (...) / Tyle ról, tyle ról do zagrania / tyle serc, tyle serc do kochania / tyle dni, tyle związków i rozstań / I ten szept / zostań życie / jeszcze zostań...*

Sądzymy, że zaprezentowana tutaj po-

ezja warta jest uwagi czytelniczej, gdyż, prócz wysokiej wartości artystycznej zamieszczonych utworów zawartych w tym tomiku, daje czytelnikowi te istotne możliwości wyostrenia własnej uwagi i wrażliwości na wartości przesiąkające nasze życie codzienne, które najczęściej unikają naszej uwadze i powodują powszechnie codzienności, ale i jej banalizację.

**prof. Ignacy S. Fiut**

Ewa Maria Zelenay, „Alla prima”, Wydawnictwo Diecezjalne w Sandomierzu, Warszawa 2015, s. 100.

## Ryszarda Ulickiego rozmowy egzystencjalne

*odtąd Pan Cogito  
z dobrodusznym uśmiechem  
przechadza się po rzeczywistości*

Krzysztof Gąsiorowski

Tytuł: „Ludzie jak kamienie milowe”. Kamienie raczej jako podpory słupów miłowych (według Kierkegaarda chodzi o filozofię egzystencji – indywidualną egzystencję człowieka z jego miejscem i rolą w świecie). Na trzystu siedemdziesięciu stronach rozmowy-wywiady, które dają się czytać (jest ich pięćdziesiąt i drukowane były na łamach „Miesięcznika” w latach 2000-2012) jak powieść strumienia świadomości. Autor wykorzystał wariant klasycznego dla tego rodzaju twórczości schematu „całe życie w jednym dniu, całe życie w jednym momencie”. Również Pan Cogito w gąszczu wielkich treści i symboli próbował odnaleźć klucz do własnych znaczeń i nadziei... Życie jest dziwną grą i świadomość tego zwykle ułatwia człowiekowi przeżywanie świata w kategoriach emocjonalnych.

Autor! **Ryszard Ulicki** (1943) poeta, prozaik, dziennikarz, twórca rzeźb w kamieniu i drewnie, autor tekstów popularnych piosenek i pieśni dla zespołów romskich. Prezes ZAKR, zastępca przewodniczącego Zarządu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, wiceprezes Zarządu Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

I tak oto dotarliśmy do Ulickiego, dziennikarza, którego charakteryzuje dyplomatyczna zręczność – i to, że wypowiada się prosto, szczerze w sposób nienapastliwy i po-

(Dokończenie na stronie 18)

# Ryszarda Ulickiego rozmowy egzystencjalne

(Dokończenie ze strony 17)

i pozbawiony kaznodziejskiej emfazy. Zdaje się być rozmiłowany w naukowej metodyce – posiada niezwykłą umiejętność zadawania pytań – zbierania doświadczeń i badania ich przy pomocy pytań, bez wymuszania odpowiedzi. To cenny dokument ludzki w socjologicznym i psychologicznym znaczeniu. Wyjaśniając genezę swoich rozmów z rewolucyjnym zapałem – najczęściej rozmawia z podobnymi do siebie, mówił, że ma wielu sobowtórów. Depozytariuszami byli (wielu już nie żyje) przedstawiciele różnych środowisk i profesji „byli świadkami historii, ale także tę naszą najnowszą współtworzyli”.

Np. politycy: z rozmów z Aleksandrem Kwaśniewskim, Leszkiem Millerem, Leszkiem Moczulskim, Aleksandrem Małachowskim, Longinem Pastusiakiem, Mieczysławem F. Rakowskim i Krzysztofem Teodorem Topliżem wynika, że tragizm ludzkiego losu wpisany jest w dzieje każdej cywilizacji, która stoi na straży wartości autonomicznych wobec innych.

Ulickiego cechuje osobliwa odmiana uprzejmości (nie zauważyłem, żeby chciał ukryć swoją twarz na pół wstydliwie, na pół konspiracyjnie). Zauważyłem jednak ową poważną skwapliwość, która nie jest schlebaniem, ale skromnością mędrca, który na każdym, kto wybrał własną drogę, uczy się „nie od niego, lecz właśnie na nim”. Powyższe rozważania dają asumpt do ostatecznego zrozumienia rzeczywistości, którą można zastenografować, czy po prostu utrwalić.

Życie prof. Religi było jakby odmiennym rodzajem istnienia, odmiennym rodzajem egzystencji. Kuriozalnym wydaje się stwierdzenie: „Należę do bardzo nielicznej grupy ludzi, którym spełniły się wszystkie marzenia”.

Nie jest przypadkiem, że autor „Ludzi jak kamienie milowe” z przeprowadzonych rozmów nie uczynił zimnego i sceptycznego rozżerenia w rzeczywistość. Każdy z rozmówców miał (ma) jakieś swoje miejsce w życiu, które jest jego oknem na świat, jak m.in.: Adam Marszałek, biskup Ignacy Ludwik Jeż, król polskich romów Henryk Kozłowski, Don Vasył, Bogdan Trojanek – czy też aktorzy: Bronisław Cieslak i Wojciech Siemion.

Najliczniejszą grupę stanowią pisarze: Piotr Kuncewicz, Marek Wawrzekiewicz, Eugeniusz Kabatc, Waław Sadkowski, Krzysztof Gąsiorowski, Grzegorz Wiśniewski,

Roman Śliwonik, Andrzej K. Waśkiewicz. Są także ludzie, których sprawy ciągle związane są z Koszalinem i wciąż pozostają otwarte: prof. dr. hab. Jerzy Hauziński, Lesie Brent, Ryszard Poznakowski, Marlena Zimna, Bogdan Gutkowski, Piotr Zientarski, Stanisław Gawłowski, Jacek Bromski, Janusz Kukuła i Krzysztof Rapsa.

Rozmowy-wywiady to gatunek dziennikarski, który w zaskakujący sposób komentuje naszą rzeczywistość – nasze kamienie czy słupy milowe. Powstał w XIX wieku na polskim rynku zyskując sobie szerszą popularność dopiero w okresie międzywojennym.

„Patrząc w przyszłość” to otwierająca książkę rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim, który będąc prezydentem wszystkich Polaków starał się panować nad czasem teraźniejszym i przyszłym w zakresie nie budzącym trwogi. Na pytanie: *Czy jakieś szczególnie zdarzenia (...) które wpisałby pan na listę swoich osiągnięć?* – odpowiada: *Ludzie z pierwszych stron gazet nie zaprojektowałiby tych zmian, gdyby nie wola, zaradność, pracowitość i gotowość poświęcenia wielu milionów Polaków (...) Patrząc na otoczenie naszego kraju, nie mam bowiem wątpliwości, że per saldo odnieśliśmy sukces.*

Nie sposób trzystusiedemdziesięciu stronicowej książki omówić w krótkiej recenzji. Może więc tylko parę słów o Adamie Marszałku – to firma wydawnicza najprzedniejsza jaką znam. Ulicki wspomina o poezji, która nie cieszy się zainteresowaniem wydawców, choć zdarzają się tacy »dziwacy« jak Adam Marszałek z Torunia. Od siebie dodam tylko to, że jest w tym coś z »dziwactwa futuryzmu”. Dlatego nie będzie w tym nic dziwnego, że posłużyłem się właśnie takim, a nie innym cytatem: *W ostatnim czasie wydajemy więcej poezji z górnej półki. Dlatego zapewne ta część naszej oferty wydawniczej została dostrzeżona przez prasę, krytyków i czytelników. Uruchomiliśmy dwie serie poetyckie: „Dekadę Poetów”, której redaktorem jest prof. Janusz Kryszak (...) oraz „Lirykę Polską”, nad którą czuwa znany warszawski poeta Marek Wawrzekiewicz. Obaj ci panowie gwarantują wysoki poziom tomików tam publikowanych.*

Z wydawnictwa Adam Marszałek przenieśmy się do Świątyni Literatury na Krakowskie Przedmieście w Warszawie, gdzie wieloletni prezes Związku Literatów Polskich Piotr Kuncewicz, który zdumiewał umiejętnością dawania sobie rady w najcięższych warunkach i znoszenia trudów bez sarkania i skarg. I który przez wiele lat pracował – jak najbardziej od siebie wymagający klasyk. Tak mówił o swej postawie wobec literatury: *Literatura XIX i początku XX wieku – ta „wzdychająca” do wolności jest czytana do tej chwili (...) No więc, właśnie. Moim zdaniem okres Polski Ludowej, niezależnie od tego, czy był salceson, czy niczego nie było, był jednym z okresów „dobrych lat” literatury polskiej, w ogóle – kultury polskiej, bo nie odnosi się to tylko do*

*literatury, a i do muzyki, filmu, teatru plastyki – bo wszystko to rozkwitało!*

Marek Wawrzekiewicz na pytanie: *co budziło tę poetycką iluminację, która nakazuje spisać stan ducha?* – udziela zgoła lapidarnej odpowiedzi: *Poeta wierzy, że ktoś uzna jego strofy za swoje. Taką wiarę miał Iwaszkiewicz, który chciał, żeby napisany przez niego wiersz nie był jego wierszem, lecz wierszem wszystkich ludzi.*

Waław Sadkowski kierujący niegdyś „Literaturą na świecie” wypowiada się w kwestii „dotyczących warsztatu współczesnej krytyki literackiej”: *Narzuca się nam mianowicie zabójcze w gruncie rzeczy dla sztuki iunetim między twórcą a jego dziełem, między wyznawanym (albo deklarowanym) przez autora poglądem na świat, systemem jego norm etycznych a treścią oraz wartością jego dzieła. W praktyce rodzi to całe piramidy – wieszczom (na przykład Mickiewiczowi) wybacza się zachowania, za które innych, pomniejszych twórców poddawano by umiłowemu przez niektórych zabiegom egzorcystycznym”.*

Krzysztof Gąsiorowski o sobie: *On (ten Gąsiorowski ten ja, albo ten nie-ja; nie wiem, który jest którym) miał, z różnych powodów, raczej trudne ze sobą życie. Już od dzieciństwa. Rzadkie chwile satysfakcji. Ale nawet wtedy z nimi się nie do końca identyfikowałem. Zazwyczaj musiałem tego Gąsiorowskiego wspierać. Starałem się, aby się nie zadreżczał. Ale z drugiej strony starałem się nie wyzybywać udręki. Coś jak napisało mi się w pewnym wierszu, musiałem jednak mieć. Gdyby nie ból, pisał Gombrowicz, życie byłoby pustynią. Jestem przekonany, że bez poezji nie dałbym sobie ze sobą i z Gąsiorowskim rady (bez wódki też, ale to osobny temat).*

O Romanie Śliwoniku napisał przed laty w „grach krytycznych” Jan Marx: *Jednym z takich niedopieczonych przez krytykę poetów, do czasu ukazania się euforycznego szkicu Alfreda Łaszowskiego, był Roman Śliwonik. (...) W sferze filozoficznej i egzystencjalnej motywami nadrzędnymi są destrukcja, rozkład, katastrofa, a w sferze moralnej wątplenie, pustka i gorzyc. Ulicki cytuje wypowiedź poety: pisarz powinien żyć długo, zmarli są szybko zapomniani. Na szczęście żył długo – możliwie najpełniej. Myślę, że można tu mówić o poetyckiej filozofii istnienia. Bo jakże nie pragnąć egzystencji, w której człowiek zanurza się jak w zwierciadle nadziei, prawdy, miłości i wiary. Wiele sensów wyjmuję z wypowiedzi Romana – dramat istnienia rozpoczyna się zwykle wraz z erupcją biologii i zmysłów: *Od początku chciałem pisać wiersze, jakie sobie wyobrażałem. W literaturze najważniejszą sprawą jest prawda. (...) Gównem kogoś obchodzi, co robiłem przedtem, a również i potem. Nie uznaję wywiadów biograficznych, bo w innych warunkach kształtował się i pisał Musil, Faulkner, Szekspir czy Ryszard Ulicki. Są sfery przeżyć intymnych,**

o których nawet najodważniejsi krepują się pisać. Zastaniają się nieudaną metaforą, kamuflażem”. Roman Śliwonik uznany za poetę wybitnego „kto wie czy nie był najlepszym poetą współczesnym”, zmarł 22 września 2012 roku.

Dwa miesiące wcześniej odszedł od nas wybitny poeta, krytyk, encyklopedysta literacki Andrzej K. Waśkiewicz. W 2006 roku przeprowadziłem z nim wywiad również w „Miesięczniku” zadając mu pytanie, które było „motorem” jego istnienia, co go niejako utrzymywało przy życiu, zarazem godząc w niego bezpośrednio: *Nie wiesz, co piszesz? Odpowiedział: Gdybym wiedział, pewnie bym nie pisał. O tym czym jestem, dowiaduję się z wierszy. Chyba po to je piszę, bo nie mam ani świadomości, że zmienią świat i ludzi, ani przekonania, że przez nie zmienią swą sytuację, stanę się np. pięknym i bogatym. Mam raczej wątplą nadzieję, że przez nie dowiem się czegoś o sobie i świecie i że ta wiedza może komuś wydać się interesująca i przydatna, choćby jako świadectwo, być może omylnego, przeżycia i doświadczenia. Mam nadzieję – choćby w pewnym stopniu – niepowtarzalnego.*

... zwykłe wyznania pisarzy – może przyjmować należy: *cum grano salis*. Nie zmienimy faktu, że piszący różnią się talentem, wiedzą, wykształceniem, lotnością, odpowiedzią na to co nazywamy koniunkturalizmem. Autor „Ludzi jak kamienie milowe” pozostanie mistrzem wtajemniczenia w powikłane sprawy polskiego losu – wychodząc przy tym jak już wspomniałem (wcale nie intuicyjnie) z założeń egzystencjalizmu (chrześcijanie ustosunkowują się do świata nadprzyrodzonego) Ullicki do doczesności...

## Andrzej Gnarowski

Ryszard Ullicki, „Ludzie jak kamienie milowe”. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2013.

# Wielka encyklopedia Polonii świata

Autorzy wydanej obecnie pod redakcją profesora Zbigniewa S. Piaska „Wielkiej encyklopedii Polonii świata” z wielkim zaangażowaniem naukowym i emocjonalnym podjęli się badań zmierzających do rekonstrukcji oraz monograficznego opisu osiągnięć Polonii i Polaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie, Ameryce Południowej, Europie Wschodniej i Zachodniej, Afryce, Australii oraz w Azji, w okresie od I wojny światowej do czasów

współczesnych.

Biogramy encyklopedyczne (w języku polskim i angielskim plus kolorowe fotografie) zawierają kompleksowy, a zarazem syntetyczny opis przebiegu drogi naukowej i zawodowej danej osoby, tak w kraju, jak i w miejscu osiedlenia.

Zrealizowaną ideą „Encyklopedii” jest zachowanie i utrwalenie dziedzictwa Polonii, pozostającej na emigracji oraz Polaków w kraju, aktywnie współdziałających z licznymi organizacjami, stowarzyszeniami i fundacjami polonijnymi. Praca wieńcząca wieloletnie badania, służyć będzie promocji Polski i Polonii w wymiarze historycznym i współczesnym jednostkowym i zbiorowym.

„Encyklopedia” stanowi swego rodzaju novum, gdyż dobór biogramów ma w tym względzie kluczowe znaczenie. W biogramach tych bowiem możemy prześledzić niezwykle ważny dla emigracji problem asymilacji oraz późniejszej integracji kulturowej Polaków w kraju osiedlenia. Cennym zabiegiem konstrukcyjnym publikacji jest zamieszczenie w drugiej części książki „Biogramów Polaków” w kraju prowadzących badania nad Polonią lub podejmowanych działań na rzecz Polaków będących poza granicami. Jest to dobry przykład prawidłowego rozumienia procesów kulturowych i świadectwo coraz lepszego i świadomego uczestnictwa Polaków w dziele integracyjnym Europy i świata.

Podziwiać należy skrupulatność autorów „Encyklopedii” czego dowodem jest m.in. wymienienie w haśle „emocjonaści” nazwiska Janusza Skowrona, artysty kiedyś związanego ze Starachowicami, który od lat mieszka w Nowym Jorku i tam przede wszystkim prezentuje swoje prace plastyczne.

## Emil Biela

„Wielka Encyklopedia Polonii Świata”, pod redakcją prof. Zbigniewa S. Piaska. Wydawca: Fundacja Instytut Edukacji i Rozwoju w Częstochowie, Wydawnictwo Akademii Polonijnej „Edukatro”, Częstochowa 2014, s. 534.

# Ciągle wyruszamy z tych samych miejsc

Muza **Lesława Wolaka** się nie śpieszy. Poeta wydaje tomik co kilka lat. Po „Księżdzie wiatru” (2007) i „Naświetlaniu nocy” (2010) pojawił się w 2015 roku kolejny zbiór poezji

pt. „Ślady i cienie”. We wszystkich da się dostrzec człowieka wpisanego w pejzaż. Za każdym jednak razem tonacja sztafażu jest inna. Ma się rozumieć, że krajobraz, jeżeli jest, jest tylko wystrojem klimatu wiersza, swoistą parabolą, w której ukrywa się jak diament w kamieniu istota tekstu. Teksty są dopracowane, pewne. Mają mocne wiązania. Widać, że autor panuje nad wierszem. Jest powściągliwy w wyrażaniu emocji, a jednocześnie nie waha się obdarzyć nas wynurzonym z metafory obrazem, zachwycić porównaniem, puentą. Wolak tym razem przywozi swoje wrażenia z podróży po świecie śródziemnomorskim. Refleksje o naturze człowieka, o istocie życia, o historii są często inspirowane konkretną przestrzenią. Jej topografię poeta wprzęga do różnych przemyśleń, wykorzystuje jej specyficzną fakturę, barwę, zapach. Jednak ma świadomość, że *ciągle wyruszamy z tych samych miejsc*. Taką jest bowiem metafizyczna natura rytuału wędrowki, nieuchwytna uniwersalność aktu wyruszania w drogę. A może atawizm, który posiada dwa przeciwne wektory – marzenie, by pojechać w świat i pragnienie powrotu.

Wolak używa metafory w celu skondensowania skojarzeń. Treść jest wtórna wobec pojemności możliwych do przywołania w wyobraźni obrazów i znaczeń.

*Oto serce pieśni Obietnica  
Przenosi nas na drugi brzeg Co połączy zagubione  
brzegi Co ocali  
tamto światło Żagiel prostuje się zbudzony nagle ze  
snu  
Słońce to kindżał kłujący z góry Wystarczy iskra i  
spłonimy (...)*

*W oddali białe granitowe domy jak Łazarze w  
prześcieradłach  
świecą Muzyka leniwie rozwiesza rybackie sieci (...)*

*Łódkę na Jeziorze Galilejskim unosi pieśń  
(„Na brzegu Jeziora Galilejskiego”)*

Bogactwo przywołanych desygnatów buduje bliskowschodni klimat, a odniesienia biblijne wskazują na konkretność miejsca w Ziemi Świętej. W licznie zaprezentowanych wierszach, których pojawiają się konkretnie wywołane miejsca autor „Śladów i cieni” wchodzi w ich wyrazisty aromat, słowem poetyckim opowiada *genius loci*. Przypomina trochę Mickiewicza, dla którego egzotyka Krymu stała się pretekstem do egzystencjalnej i historiozoficznej refleksji. Zabiegi formalne, które Wolak stosuje pochodzą z unowocześnionego ekwipażu międzywojennej awangardy. Ślady i cienie, za którymi podąża Lesław Wolak, to – przynajmniej jeśli chodzi o wspomniany przed chwilą aspekt – zatarte już ślady Przybosa, Czechowicza i Miłosza. Oczywiście to tylko niektóre ślady. Jest bowiem sporo wierszy napisanych kolokwialnie,

(Dokończenie na stronie 20)

## Słownikowy rarytas

W sposób urzekający o języku mówił przed laty prof. Witold Doroszewski: *W każdym niemal słowie naszego języka tkwi pierwiastek swoistego piękna, a odslania się on nam wówczas, gdy ze słowem obcujemy bezinteresownie – a to znaczy między innymi teoretycznie – gdy otrząśniemy je z powszechności i, kontemplując je niejako, oświetlimy promieniami historii; w promieniach tych słowa zaczynają grać barwami jak drogie kamienie w promieniach słońca.* (Rozmowy o języku, Warszawa 1948, s. 21)

Myszę, że doc. dr Ryszard Radwiłowicz w trosce, by każdy posługujący się językiem, „odpowiednie dał rzeczy słowo”, opublikował *Po/d/ręczny słownik wzbogacający, czyli sufler wyrazowy* (Warszawa 2015). Jest to niezwykły i wyjątkowy w swoim gatunku słownik, niemający – jak sądzę – poprzednika w historii podobnych leksykonów. Autor we *Wprowadzeniu* do tej pionierskiej wręcz publikacji napisał m.in., że „jest to słownik, który proponuje wyrazy bliskoznaczne, ale tylko te rzadziej stosowane, a zarazem wzbogacające naszą codzienną mowę, zwłaszcza pisaną. Stąd zawartość ograniczono do trzech tysięcy czterystu haseł”. (...)

Praca doc. dra Ryszarda Radwiłowicza jest „ukierunkowanym słownikiem wyrazów bliskoznacznych. Ukierunkowanym – ponieważ służy zastępowaniu słów użytych, niezręcznie używanych, niepotrzebnie zapożyczonych, odpowiednikami wciąż świeżymi, piękniejszymi, choć niesłusznie zapomnianymi”. (...)

Należy zauważyć przy tym, że „korzystanie ze *Słownika*, wczytanie się weń, pozwoli pielęgnować tradycję polszczyzny, wyrosłą z bogatej wspólnoty kulturowej, która łączy ogół Słowian środkowoeuropejskich”, (...) a „sprawą zainteresowanych Czytelników będzie (...) rozwijanie w sobie świadomości językowej i cieszenie się nią” i że „szczególnie ważną funkcją *Słownika* jest bowiem przeciwdziałanie narastającemu procesowi językowego, a zarazem i kulturowego ubożenia, i prymitywizacji, czego jaskrawym przejawem jest nagminne stosowanie protez zamiast utrwalonych i w pełni funkcjonalnych wyrażen rodzimych”. (...)

Kto jest adresatem *Po/d/ręcznego słownika ...*? Adresatem są wszyscy, którzy zechcą po niego sięgnąć i z niego skorzystać. Adresowany jest „do różnorodnego grona odbiorców, mianowicie wszystkich tych, co chcą, aby ich język był „giętki”. Nie tylko humanistów, także do inżynierów i dziennikarzy, do ogółu zainteresowanych jasnością i elegancją mowy oraz szeroko rozumianą kulturą, łączoną z nauką, literaturą i sztuką”.

Korzystanie z *Pod/ręcznego słownika...* (równoległego, inaczej alternatywnego, wy-

miennego, zastępczego lub wariantowego) nie powinno następczość specjalnych trudności. Autor w słowie wstępnym wprowadza Czytelnika w „tajniki” swego leksykonu, który składa się z trzech części: *Wykazu I*, zwanego *Indeksem*, *Wykazu II*, podstawowego, określonego mianem *Zasoby*, i *Wykazu III*, nazwanego *Przeglądem*. Na przykładzie paru wyrazów pokazuje drogę poszukiwania potrzebnych nam słów (ręczowników wyraz i słowo używa się tu wymiennie).

Co zawierają poszczególne części?

Część I „przedstawia w układzie alfabetycznym wyrazy konwencjonalne, inaczej potoczne, które zastępuje słowami równoważnymi; służy on każdorazowo wyszukiwaniu zamienników dla zbyt często stosowanych wyrazów obiegowych”.

Część II „obejmuje wyrazy alternatywne, inaczej komplementarne. W mowie codziennej, w tym również pisanej, spotyka się je rzadziej, chociaż są one równie cenne znaczeniowo”. Autor zaznacza, że „uporządkowano je tutaj według specjalnej klasyfikacji formalno-treściowej, objaśniając każde hasło w jej obrębie za pomocą jednego lub kilku wyrazów potocznych. Wprowadzony podział ma ułatwić logiczno-pamięciowe utrwalenie poszczególnych partii, a później i całości tego katalogu w miarę zainteresowania się Czytelnika jego zawartością, niezależnie od potrzeb doraźnej kwerendy”.

Część III „to alfabetyczny, tyle że bez objaśnień, rejestr tych samych haseł, co w *Zasobie*; spełnia on rolę suchego spisu całej oferty glosariusza”.

Można tylko pogratulować Autorowi, że nie będąc polonistą z wykształcenia, „odważył się zbudować ten zwarty słownik wzbogacający, ponieważ właśnie dzięki swojej lapidarności może on ułatwić Użytkownikowi aktywniejsze korzystanie ze szczodrych zasobów polszczyzny”. Warto mieć ów *Słownik... - sufler wyrazowy* pod ręką w domowej bibliotece.

Recenzentami *Po/d/ręcznego słownika...* (s. 20-23) byli pisarze - Ernest Bryll, Jan Stępień, Andrzej Zaniewski, poloniści - prof. dr hab. Józef Półturzycki, dr Dagmara Zajac. Z wymienionych literatów przytaczam opinie poety i prozaika Jana Stępnia

„W epoce internetu i esemesów owe zaniedbywane wyrazy i zwroty z pozorów mogą uchodzić za zbędne, ponieważ nastąpiła prymitywizacja języka. Porozumiewamy się w sposób uproszczony. Zresztą zbyt mało ze sobą rozmawiamy. A przecież język jest emanacją naszych stanów psychicznych. Bogaty język świadczy o bogactwie naszego wnętrza. Prymitywny – o płytkim przeżywaniu świata, który jest przecież jakże bogaty w swojej treści i formie... *Słownik* Ryszarda Radwiłowicza jest glosem tych, którzy mają dość ubożenia języka”.

**Tadeusz Stolarski**

## Ciągle wyruszamy z tych samych miejsc

(Dokończenie ze strony 19)

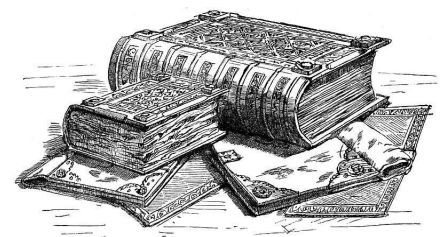
naturalnym językiem wyznania, a nawet rzeczowym językiem reportażu. Natomiast treść wierszy jest jak obfity połów. Jest tu całe bogactwo odniesień. Poeta nurza się w tradycji i *jak łódka brodzi* w śródziemnomorskim pejzażu i bliskowschodniej historii. Jest więc tradycja biblijna, są akcenty mahometańskie i echa innych starożytnych wierzeń – perskich czy egipskich.

Lesław Wolak porusza się w tym skondensowanym od znaczeń świecie z dużą swobodą. Takie mamy wrażenie podczas lektury tych utworów. A przecież, żeby stworzyć ową iluzję lekkości, poeta – co widać – bardzo uważnie budował każde zdanie wiersza, by jego architektura wydawała się lekka i jasna, choć w rzeczywistości jest skarbnicą obrazów i znaczeń.

Tomikiem „Ślady i cienie” Lesław Wolak wpisuje się w wielowiekowy nurt literackiego diariusza z podróży oraz w szeroko pojęty obszar literatury śródziemnomorskiej. Okazuje się, że krajobrazy znad Morza Śródziemnego ze względu na ich egzotykę dla Polaka i bagaż wielowiekowej historii konstytuującej naszą cywilizację, są niewyczerpanym źródłem inspiracji artystycznej.

Otrzymujemy zatem tomik dojrzały, precyzyjnie przemyślany, owoc długotrwałej pracy nad słowem. „Ślady i cienie” Lesława Wolaka są potwierdzeniem wartości jego poetyckiego piarstwa, podobnie jak poprzednie zbiory poetyckie. Szkoda jednak, że tak wartościowa poezja nie jest znana szerzej. W masie wydawanych dzisiaj tomików wierszy trudno dziś znaleźć rzeczy naprawdę wartościowe. „Księga wiatru”, „Naświetlanie nocy” to naprawdę dobra poezja, a „Ślady i cienie” to następny krok w twórczości jeleniogórskiego poety. I chociaż jego dorobek w sensie objętości wydaje się szczupły, to jest to poezja o znacznym ciężarze, bardzo dobra formalnie i piękna w czytaniu.

**Jan Owczarek**



## Filozofia codzienności (118)



Skoro życie każdego jest jednakowo wartościowe, więc niemoralne jest poświęcanie go dla innego człowieka. Byłoby, na przykład, niemoralne cenić bardziej życie ojca wielodzietnej rodziny od życia człowieka bezdzietnego.

Dobrobyt materialny nie powinien być propagowany jako wartość naczelna w życiu człowieka. Dążąc do niego niemożliwe jest głębsze poznanie własnego ja oraz tkwiących w nas możliwości. Nie należy również lękać się snuć z światem; nie jest ono groźne jeśli mamy poczucie słuszności podejmowanych działań. Czynnikiem odgrywającym zasadniczą rolę jest żywotność, nasze siły psychowitalne i niepokój wzywający wciąż dalej i dalej. Należy utrzymywać stan wewnętrznego wrzenia i nie schodzić z obranej drogi jeśli jest ona wyrazem wewnętrznego autentyzmu. Niezbędna jest odwaga urzeczywistnienia słusznej sprawy, która wyzwala nasze możliwości, choćby walczyło się o nią w osamotnieniu. Oczywiście, nie można przerzucać na świat własnych możliwości bez uznania, że inni też są uprawnieni do tego, by żyć „po swojemu”. Wiara w wyższe wartości wyzwala energię psychofizyczną jednostek popychając ku określonym celom. Przez zmierzanie do czegoś, co przekracza wymiar naszej egzystencji, osiągnąć możemy trwale zadowolenie i harmonię wewnętrzną. Brakuje w życiu publicznym poglądu podkreślającego, że człowieczeństwo wyraża się w twórczości kulturowej. A dostrzegamy wszak wielkość jednostek i narodów stosownie do pozostałych po nich dziełach kultury.

Optymizm związany z istnieniem człowieka zawiera się w poglądzie, w myśl którego będziemy tym, czym sami siebie uczynimy. Człowiek rodzi się jako istota wolna, ale nie zna siebie, nie zna tkwiących w sobie możliwości. Ujawniają się one wraz ze wzrostem samoświadomości, a więc w ciągu całego okresu istnienia. Niewątpliwie jest jedynie to, że możliwości nasze są znacznie większe niż nam się wydaje.

Błąd wyraża się w minimalizowaniu przez nas wiary w urzeczywistnienie naszych wyborów. Dzieje się tak, ponieważ z natury jesteśmy bierni i wygodni, czekając aż jakoś „samo się to ułoży”. Oczywiście funkcjonują poglądy według których człowiek jest istotą zdetermi-

nowaną zarówno przez cechy dziedziczne, jak i społeczeństwo. Ten pogląd bywa też uzupełniany stanowiskiem, iż Przeznaczenie lub Bóg wyznaczają dzieje pojedynczych jednostek. Skłania to do modlitw mających na celu zyskanie indywidualnej przychylności Boga, pojętego jako osoba. Jeżeli jednak staniemy na gruncie rozdzielenia filozofii i religii, co nie ma nic wspólnego z ateizmem, to należy uznać, że każdy jest sam dla siebie najwyższym punktem odniesienia i decyduje o własnym losie. A dylematy dotyczące istnienia Boga nie mają na to wpływu.

Najczęstsze są postawy życiowe ukierunkowane na rodzinę. Edukacja zarówno domowa, jak i szkolna ujmuje w Polsce człowieka jako część składową rodziny. Powołując się na obyczaje, a nawet poglądy wybranych pedagogów, zaszczepia się dość powszechnie pogląd, że dorośli mają poświęcać swoje życie wychowywaniu kolejnego pokolenia. Prowadzi to do koncentracji uwagi na sferze biologicznej i materialnej. Nadmierna troska o przyszłość potomstwa przeszkadza milionom osób tworzących społeczeństwo na realizację własnych możliwości i zainteresowanie się losem własnego narodu oraz ludzkości. Udział w głosowaniach do parlamentu, czy w wyborach prezydenta RP wypełnia wystarczająco w mniemaniu większości powinność na rzecz społeczeństwa.

Profesor Kazimierz Dąbrowski, lekarz, psycholog i filozof – którego poglądy są dziś szczególnie kultywowane w Kanadzie – pisał w swoich książkach, w drugiej połowie XX wieku, że cechy dziedziczne można i należy w sobie przewycięzać. Uzasadnia też postawę niezależności od społeczeństwa formułując nakaz pozytywnego nieprzystosowania do środowiska. Przyjmował jedynie trzy formy negatywnego nieprzystosowania, a mianowicie alkoholizm, narkomanię i lekomanie oraz drogę przestępstw. Pozostałe formy nieprzystosowania do społeczeństwa ocenia jako pozytywne. Jest to jedyna droga, która prowadzi w konsekwencji do poznania siebie oraz do ukształtowania własnych, niepowtarzalnych właściwości indywidualnych. Zaznaczał przy tym słusznie, że dążenie do zysku materialnego, kariery, sukcesu, nie powinno być celem istnienia. Człowiek ma kształtować swoje cechy indywidualne, w tym potęgę własnej woli, dążąc do ideału własnego ja oraz do ideałów, które są istotne dla całej ludzkości.

Brak wiary w siebie jest destrukcyjny, ponieważ nie uruchamia drzemiącej w człowieku potęgi sił. Natomiast poczucie, że nie dorównuje się innym, że jest się rzekomo gorszym od otaczających nasz osób, można przekształcać w siebie w potężną siłę. Inspiracją ku temu jest chęć okazania innym, że się mylą. Zdarza się i to nierzadko, że osoba nie ceniona przez własną rodzinę uruchamia drzemiące w sobie możliwości, których nie była wcześniej świadoma, dążąc do znalezienia aprobaty.

Życie każdego z nas należy uznawać za jednakowo wartościowe. A więc niemoralne jest poświęcanie go dla kogoś. Nie ma podstaw by, na przykład, cenić bardziej życie ojca wielodzietnej rodziny niż życie człowieka bezdzietnego.

Poznajemy siebie w ciągu trwania całego życia. Rodzimy się jako zadatek człowieka. Nie znamy tkwiących w nas możliwości. Zdarza się, że talent malarski – by podać ten przykład – ujawnia się około siedemdziesiątego roku życia. Bywa, że powstają najdoskonalsze dzieła wybitnych twórców w późniejszym okresie ich życia. Ogólnie należy stwierdzić, że tkwiące w nas możliwości są znacznie większe niż nam się wydaje. Adam Mickiewicz, który był nie tylko poetą, ale i myślicielem słusznie nakłaniał: „Mierz siły na zamiary”.

W każdym z nas drzemie wola mocy, która wyzwala tkwiące w nas możliwości. Pisał o tym Fryderyk Nietzsche wciąż absurdalnie oskarżany u nas za to, iż był ideologiem hitlerizmu. Według tego filozofa, każdy może stać się nadczłowiekiem o ile jego istnienie będzie przesycone dążeniem do wybranych przez siebie ideałów. To one stanowią sens życia nadczłowieka, który dążąc do ideałów musi wyrobić w sobie zobojetnienie wobec trudów codziennych, biedy, przykrości. Musi stać się twardy, ale dla siebie – nie dla innych. Jest to nakaz przewycięzania własnych słabości. Nad-człowiek ma poczucie odpowiedzialności za ludzkość. Na marginesie dodam, że używany przez Alfreda Rosenberga termin „nadczłowiek” miał znaczenie biologiczne, dotyczył rasy i służył wiadomemu stosunkowi faszystów do Żydów i Słowian. Hitler i jego otoczenie czytało dzieła między innymi tego filozofa i ceniło go, ale nie przekreśla to faktu, iż nadczłowiekiem według Nietzschego może stać się każdy człowiek.

Możliwości człowieka wyraźnie ujawniają się gdy człowiek przewycięza w sobie lęk i niepewność oraz ma **odwagę** brać odpowiedzialność na siebie za własne czyny. Jest bowiem oczywiste, że jesteśmy tym, czym sami siebie uczynimy. Otóż człowiek może bardzo wiele zdziałać o ile **uzna siebie za centrum świata** – co nie ma nic wspólnego z egoizmem i egocentryzmem – oraz **uświadomi sobie własną wolność**. Ten natomiast, kto liczy się nadmiernie z innymi, kto poddaje się nakazom przystosowywania się do ogółu – zdziała niewiele i nie wyzwoli swoich możliwości. Poczucie własnej mocy można sobie wyraziście uświadomić, gdy zamiast poszukiwania aprobaty ze strony otoczenia, będziemy zabiegać o **aprobatę siebie przez siebie**.

cdn.

*Maria Sajdakowska*

## Andrzej Bartyński

### Rozmowy na globie - człowieka o sobie



## Małe smyki (1)

– Jak zabawa, to zabawa. Przy okrągłym stole ławka, a na ławie małe smyki, siedzą sobie limeryki. Każdy może wziąć do ręki i przeczytać tekst maleńki – w *salonie mych myśli* ów tekst wypowiedziała swym bursztynowym głosem błękitnooka i złotowłosa Wiosna rozpoczynając tym sposobem nasze kolejne spotkanie w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole.

Ale, ale, jeno popatrzcie moi mili, kto tu przy okrągłym stole stoi. Czy go już poznajecie, czy jeszcze nie. No to wam powiem kto przy okrągłym stole stoi. To koń na biegunach, a na tym koniu siedzi Luna, piwnooka jak heban czarnowłosa i nigdy nie pali papierosa. Tylko się hušta w przód i w tył, dla pozyskania życiowych sił.

– Jak huštawka, to huštawka, przy okrągłym stole ławka, a na ławce małe smyki, siedzą sobie limeryki. Każdy może wziąć do ręki i przeczytać tekst maleńki – to Luna swym szmaragdowym altem zaśpiewała nam naszą rzeczywistość w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole. Aby tę rzeczywistość lepiej unaoecznić musimy jej opis rozszerzyć. Otóż przy okrągłym stole oprócz Wiosny i oprócz konia na biegunach, na którego grzbiecie siedzi Luna i się hušta w przód i w tył dla nabrania sił. Siedzą również nasi przyjaciele, filozof Pan Nietwór i asystent Daniel Spaniel. Siedzę również ja, jako Autor i czuję zazdrość w sercu moim, że to nie ja siedzę na grzbiecie konia na biegunach, tylko Luna, tylko Luna.

Jak huštawka, to huštawka. Przy okrągłym stole ławka. A na ławce małe smyki, siedzą sobie limeryki. Każdy może wziąć do ręki i przeczytać tekst maleńki, bo to nasze domowniki.

W *salonie mych myśli* widownia pełna. To czytelnicy „Gazety Kulturalnej” przyszedli odpocząć od trudów dnia codziennego. Przyszedli zatańczyć swój czas na scenie wolnej od przymusu złych niedobrych duchów, tych co się na świecie naszym panoszą. Przyszedli zaśpiewać razem z nami. Jak zabawka, to zabawka. Przy okrągłym stole ławka, a na ławce małe smyki, siedzą sobie limeryki i kukają jak kukawka.

– Jak mohery, to mohery. Na stół widzę wjeżdża cherry – powiedział swym rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór. Wziął do ręki małego smyka i przeczytał:

*Jak tworzy się limeryk  
zapytał się chimeryk  
usłyszał głos z okrętu  
zależy od talentu  
i to z kim pijesz cherry*

– Postawiłam wam Cordial Cherry, żeby ugasić wasze numery – powiedziała swym bursztynowym głosem Wiosna i bez trudności podskoczyła pod sam sufit.

– Jak numery, to numery, ja przeczytałam te litery – powiedziała swym szmaragdowym altem Luna siedząc na grzbiecie konia na biegunach. Wzięła do ręki małego smyka i się huštając słowem ponyka.

*Raz się zapytał flegmatyk  
co to oznacza wiatyk  
sprawę wyjaśnił wikary  
wiatyk to postać wiary  
wszystko pochodzi od wiaty*

*Zapytał się sangwinik  
kiedy jest dobry wynik  
odpowiedziała wróżka  
nie wychodź szybko z łóżka  
na przekór gospodyni*

*Pewnego razu w Polanicy  
spotkali się dwaj zakonnicy  
zapytał się jeden drugiego  
czy nie chcesz mieć czegoś żeńskiego  
zakonnik szepnął – śliwowicy*

*Nie podrywaj cudzej żonki  
wołał pewien ksiądz z ambonki  
oto męskie wyjaśnienia  
to są naszych żon marzenia  
my jesteśmy tylko pionki*

*Spotkał się ksiądz z zakonnicy  
zapytał co z jej miednicą  
odpowiedziała mu mniszka  
czasem w miednicy jest szyszka  
a reszta jest tajemnica*

– Moi drodzy moi mili, trochę cherry my wypili – powiedziała nasza Wiosna i do ręki wzięła krosna. Może nie krosna, bo to za dużo. Wzięła do ręki małe kosmyki, żeby przeczytać limeryki.

*Jak tworzy się limeryk  
zapytał się weneryk  
a na to dermatolog  
musisz być jak astrolog  
z gwiazdami te numery*

*Jak tworzy się limeryk  
zapytał się historyk  
a na to rzekł psychiatra  
limeryk rośnie w Tatrach  
tam z niego robią sery*

*W Polanicy nad Bystrzycą  
siedzi księżyc pod spódnicą  
tą spódnicą są niebios  
księżyc ma dobrego nosa  
gdzie się chować przed dusznicą*

*A w Dusznikach Chopin brzdąka  
na zielonych klawipąkach  
wszyscy śmieją się z geniusza  
że palcami ciężko rusza  
a on lekko puścił bąka*

*We Wrocławiu nad Odrą  
szedł poeta z melodią  
tę melodię miał w duszy  
a słuchawki na uszy  
bo limeryk jest formą*

*Oto niejasny limeryk  
czy to agnostyk czy kleryk  
chwycił dziewczynę pod pachę  
nasycił się jej zapachem  
księża orzekli – emeryt*

– „No już niech będzie na twoje kupimy sobie ten piękny jacht i popłyniemy jak lordowie nawet pod wiatr ale kochanie co robić ja złamanego szeląga nie mam głupstwa gadasz mój drogi a ja z miłości umieram” – powiedziała swym bursztynowym głosem Wiosna i wzięła do ręki małego smyka. Niech sobie z nami pobryka.

*Raz limeryk z limeryczką  
chciał pojechać konną bryczką  
najpierw prosto potem w kółko  
lecz limeryk jest formułką  
i nie wolno mu z samyczką  
Tym razem niech będzie inaczej  
limeryk się zmienił już raczej  
zamieszka w poezji frywolnej  
i się zakocha w myszce polnej  
a limeryczka się rozpląca*

*Padła raz na dworze deszcz  
przez jej uda przeszedł dreszcz  
zawołała do sąsiada  
panie sąsiad niech pan wpada  
no i sąsiad musiał wleźć*

cdn.

## POEZJA

**Rafał Gawin**, *Zachód słońca w Kurwidolach*. Opracowanie graficzne Justyna Purczyńska-Zieleniewska. Łódzki Dom Kultury, Łódź 2016, s. 64.

**Ks. Janusz Kobierski**, *Słowa na wygnaniu*. Ilustracja na i stronie okładki Barbara Kuropejska-Przybyszewska. Fotografia na IV stronie okładki Elżbieta Lempp. *Biblioteka Poezji/Biblioteka „Toposu”*, tom 125. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 80.

**Andrzej Katzenmark**, *Ścieżkami Hellady. Ilustrowana historia filozofii greckiej*. Projekt okładki i rysunki: Elżbieta Maj. Wydawnictwo Sowello, Rzeszów 2016, s. 96.

**Małgorzata Lebda**, *Matecznik*. Okładka i koncepcja graficzna Piotr Zdanowicz. Obraz wykorzystany na okładce Joanna Łańcucka. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 115. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2016, s. 50.

**Adam Lewandowski**, *Jeszcze jestem w drodze...* Posłowa: Andrzej Dębowski i Ignacy S. Fiut. Pomysł okładki: Adrian Wartecki. Grafiki: Bogdan Styperek. Konsultacja graficzna: Eugeniusz A. Ferster. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 76. Wydawca: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Poznań 2016, s. 102.

**Nguyen Chi Thuat**, *Z nurtem Warty*. Wiersze. Redaktorzy: Dariusz Tomasz Lebioda, Kalina Izabela Ziola. Posłowie: Kalina Izabela Ziola. Biblioteka „Tematu” nr 112, Bydgoszcz 2016, s. 86.

*O srebrne pióro MDK im. Wiesława Szymborskiej. Antologia, tom II. Pięć edycji konkursu 2012-2016*. Redakcja: Janusz Taranienko. Opracowanie graficzne: Edyta Karczewska. Wydawca: Młodzieżowy Dom Kultury, Biały-stok 2016, s. 88.

**Mirosław Pisarkiewicz**, *Finisaż*. Na okładce wykorzystano obraz *Ciuciubabka* Ewy Golińskiej-Pisarkiewicz. Ridero 2016, s. 116.

**Renata Senktas**, *Clarity*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Kasper Rytka. *Biblioteka Arterii*, tom 29. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2016, s. 36.

**Krzysztof Siwczyk**, *Jasnopis*. Na okładce wykorzystano zdjęcie Wojciecha Wilczyka. Opracowanie graficzne, typografia Frakcja R. Wydawnictwo as, Kraków 2016, s. 76.

**Magdalena Szewczuk**, *ciepło zimno*. Redakcja serii: Janusz Taranienko. Koncepcja graficzna serii: Zbigniew Świdziński. Konsultacja literacka: Teresa Radziejewicz. Opracowanie graficzne: Edyta Karczewska. Okładka: Ernst Ludwig Kirchner, *RoteCocotte* (1914); fragment. Seria: *Podlaskie Prezentacje Poetyckie*, tom 4. Wydawca: Towarzystwo Działań Twórczych „Talent”, Białystok 2016, s. 50.

**Jan Tulik**, *Nocny deszcz*. Redakcja: Zofia Bardecka. Projekt okładki, rysunki: Marlena Makiel-Hędrzak. Projekt typograficzny: Agata Zahuta. Wydawca: Gmina Miejsce Piastowe, Miejsce Piastowe 2016, s. 80.

**Ryszard Wasilewski**, *Labirynt*. Opracowanie redakcyjne: Ryszard Wasilewski. Projekt okładki i rysunki: Sławomir Łuczyński. Wydawnictwo INTROGRAF Ewa Buss i Jarosław Buss, Łask 2016, s. 94.

**Tytus Żalgirdas**, *MITYfikacje*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Paweł Garwol. Projekt typograficzny Joanna Jasińska. *Biblioteka Arterii*, tom 28. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2016, s. 42.

## PROZA

**Rhys Bowen**, *O mój ukochany!* Przełożyła Joanna Orłoś-Supeł. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 490.

**Ewa Czajkowska**, *Po drugiej stronie*. Koncepcja okładki Ewa Czajkowska. Fotografia na okładce Aleksandra Krysicka. Wydawnictwo Witanet, Stare Miasto 2016, s. 330.

**Lajos Grendel**, *Dzwony Einsteina*. Przełożył Miłosz Waligórski. Zdjęcie na okładce Monika Ekiert Jezusek. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria *Proza*, tom 37. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 128.

**Dawid Grosman**, *Wchodzi koń do baru*. Przełożyła Regina Gromacka. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 240.

**Salcia Hałas**, *Pieczeń dla Amfy*. Projekt okładki Barbara Niewiadomska. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2016, s. 446.

**Jarosław Kamiński**, *Wiwarium*. Grafika i projekt okładki Jakub Kowalczyk. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2016, s. 480.

**Andrzej Katzenmark**, *Manuskrypt znalezione w pięciu*. Redakcja: Jerzy Dobrzański. Projekt okładki: Lech Tadeusz Karczewski. Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawni-

cza, Warszawa 2016, s. 250.

**Marta Kijańska**, *Jutro właśnie nadeszło*. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 480.

**Toni Morrison**, *Skóra*. Przełożyła Jolanta Kozak. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 192.

**Remigiusz Mróz**, *Rewizja*. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Projekt typograficzny Stanisław Tuchołka / panbook.pl. Czwartha Strona, Poznań 2016, s. 628.

**Jerzy Pluta**, *Tysiąc pierdołek o pichcieniu grochu z kapustą i kawiozem*. Projekt graficzny i projekt okładki Małgorzata Rybicka. Zdjęcie Izaak Kaszen. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2016, s. 316.

**Rafik Schami**, *Ciemna strona miłości*. Przełożyła Elżbieta Zarych. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 944.

## DRAMAT

**Rolf Hochhuth**, *Lekarki*. Przekład i słowo wstępne Maciej Ganczar. Projekt okładki Dorota Wójtowicz. Agencja Dramatu i Teatru ADiT, Warszawa 2016, s. 128.

## NAUKA, KULTURA, SZTUKA

**Agata Bielik-Robson**, *Cienie pod czerwoną skalą*. Projekt graficzny i typograficzny Stanisław Salij. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016, s. 340.

**Krzysztof Dzikowski**, *Tekściarz*. Wysłuchał i opracował Rafał Podraza. Projekt okładki Katarzyna Wiśniewska. Zdjęcia na okładce Lidia Dzikowska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016, s. 246, w tym ilustracje.

**Adam Wiesław Kulik**, *Z biegiem Bugu*. Projekt graficzny Bernard Nowak. Zdjęcie na okładce Marek A. Terlecki. Wydawnictwo Test, Lublin 2016, s. 340.

**Jacek Łukasiewicz**, *Kąt widzenia*. *Notatki literackie*. Projekt graficzny, projekt okładki Diana Gawronkiewicz / Podpunkt. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2016, s. 380.

# Reduta może być, jakkolwiek chodzi jednak o Redutę Orдона

(Dokończenie ze strony 11)

Żadnej jednak nie stworzył Adaś M. Może jakaś powstała, ale raczej o legionach Dąbrowskiego Heniusia, który jako polski generał słabo wypowiadał się po polsku. Trudno się dziwić, gdyż, jeśli należy wierzyć hymnowi narodowemu – maszerował z ziemi włoskiej do polskiej.

Sporą popularnością cieszyła się wśród legionistów i harcerzy piosenka: „...Jedzie Belina, płacze dziewczyna...” Co tam, płacze. Rozpacza, rzewnie lka. Nie bardzo przy tym jasne dlaczego? Czy dlatego, że Belina przyjechała? Czy dlatego, że odjeżdża?

Druga zaś pieśń bliźniacza beliniaków mówi, że ułańskie czako lśni niczym słońce. Czako zakładał na głowę Wieniawa podczas świąt narodowych, państwowych oraz na defilady.

„Ułańskie czako lśni, śmieją się oczy dziew...” – śpiewają dziewczyny. Może to i prawda. W każdym razie nie płaczą ani przedtem, ani potem. Jedna dziewczyna żaliła się nawet, też w piosence, że „Już miał się żenić, lecz dostał frebry i uciekł na maniebry”. A w kryptonimie – Belina – (legionowe pseudo późniejszego generała), który to rozkazowi komendanta, wydanemu z przymrużeniem oka nie dał posłuchu i zajął miasto Gedymina, Mickiewicza i Ziuka, nie tkwi żaden błąd ortograficzny, ani korektorski. I niech się nikomu nie kojarzy z byliną, rośliną samopowtarzalną, jak nie przymierzając, broń palna samopowtarzalna.

W piosence o Belinie jest też mowa, iż „...pod Kielcami, panny z kwiatami...”, ale to głównie prawda, bo kiedy Belina na czele swego szwadronu ułanów wjechał do Kielc i zajął, (przynajmniej usiłował zająć – kwatery) mieszczanie zatrząskiwali drzwiami, zamykali okiennice, licząc w duchu ile to wkrótce zarobią, przyjmując z kasy cara Wszechrusi i Kraju Priwiślańskiego po rublu od głowy powstańca, to jest prażmowskiego ułana.

Powstał przy tej okazji hymn legionowy pełen goryczy, a następnie patriotycznie, ku chwale, zmodyfikowany. Jedna zwrotka,

przed modyfikacją brzmiała: „Nie chcemy już od was uznania, ni waszych łez, ni waszych kies. Skończyły się dni kołatania, do waszych serc, jebał was pies...”.

Adaś M., pisząc wiersz-poemat pt. „Reduta Orдона”, rozminął się z prawdą historyczną. Ale tak mu się zachciało napisać. Jego sprawa. Nie można mieć pretensji. Poniosła go wysoka wyobraźnia i natchnienie. Stworzył zatem patriotyczny wizerunek autodestrukcji komendanta Reduty – Orдона.

Czyli, jak powiada wielki filozof i do tego ksiądz – Panie świeć nad jego duszą – Tischner, który w opasłym dziele filozoficznym zwierza się z kłopotów związanych z „nie-szczęsnym darem wolności”: – „Świnto prowadzi, prowadzi i gównu prowadzi”, jakoby komendant reduty – Julian (różni mądrale od produkcji encyklopedycznych hasel różne notują) może więc raczej Juliusz Konstanty Ordon (1810-1887), wysadził wraz z sobą redutę czyli szaniec. Aby nie wpadła w ręce Moskali, a skoro zaś padła, nie warto się dalej bić. Bo i po co?

Tymczasem redutę wysadził w powietrze dynamitem zupełnie ktoś inny, niejaki Feliks Nowosielski. (Nie należy mylić z namiestnikiem Nowosilcowem, który był cholernym sukinsynem, polakożercą z nominacją cara. Był więc wiernym i oddanym sługą swego pana). Każdy wszak ma jakiegoś pana, któremu pragnie być wierny. A może i nie.



Historia bezlitośnie i boleśnie poucza, niczym belfer w wiktoriańskiej szkole średniej, że jednak lepiej i praktyczniej jest wysadzać kwokę na jaja niż fortyfikacje lub pomnik Lenina w Poroninie. Bo to poroniony pomysł najpierw wznosić pomnik aby później jakiś tam zafajdany bohaterowicz robił zeń kalekę, amputując przy pomocy dynamitu kawałek pięty. Ale jaja.

Natomiast Ordon Julian czy Juliusz, jak zwał, tak zwał, okazał się w późniejszym nieco okresie historycznym najemnym żołdakiem. Widać niczego innego nie potrafił robić, jeno się bić. Za naszą i waszą, oczywiście, wolność. Bił się zatem na Węgrzech o coś tam, Bóg

raczy wiedzieć o co. Brał też osobisty udział w wyprawie Garibaldiiego. Ale nie po złote runo. Zawsze Ordonowi chodziło o wolność i demokrację.

Adaś M., także z Wilna, („Litwo, ojczyzno moja...”), zajętego wbrew rozkazowi, i tak już pozostało, napisał wiersz pt.: „Reduta Orдона”, w którym to wierszu ujęty jest dialog generała i adiutanta. Z dialogu wynika, że „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo i spojrziałem na pole: dwieście armat grzmiało”. Ten jeneralski adiutant był bystrym matematykiem, wręcz buchalterem. Szybko liczył na palcach i miał muzyczny słuch. Natychmiast wszak rozeznał, że dwieście armat grzmiało. A reduta tylko sześć armat miała i słabo ją było słyszać. Więc z czym do gości?

Jenerał pytał adiutanta, bo kiepsko widział staruch i marny miał słuch, – Czy zna Orдона i czy go widzi lub słyszy? Gdzie ten Ordon? – wymyślał adiutantowi uparty staruch.

Adiutant, jak każdy doradca i rzecznik, jest od doradzania i informowania. Powinien oglądać wszystko dokoła oczami pryncypała, aby dogodzić jego życzeniom i wyobrażeniom, najczęściej nie odpowiadającym rzeczywistości stanowi rzeczy.

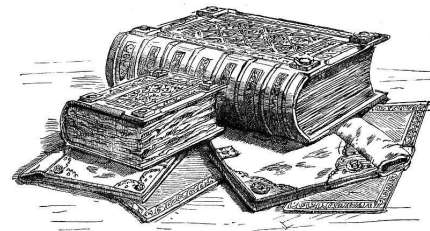
Adiutant zatem odpowiadał na docieklive pytania jenerała, że zna Orдона i jeszcze przed chwilą widział go na lawecie. Nagle rypnęło, gwizdnęło i redutę diabli, a może tylko Moskale, wzięli.

– No, a co z Ordonem?

– Ani widu, ani słychu. Komendant znikł – odpowiedział jenerałowi oraz Adasiowi M., rzecznik-doradca.

Adaś M., jak każdy poeta z wyobraźnią fatalistyczną, zgodną ze spiskową teorią dziejów, fabularyzował, że Ordon też się wysadził. Powstał zatem utwór „Reduta Orдона” i, jak chce poeta, będzie Ordon oraz jego reduta patronami wszystkich szanów, które jeszcze nie wyleciały w powietrze. I tak zostało na wieki. W historii i literaturze.

## Ryszard Kubiak



Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.